Nr. 44. Poznań, Niedziela 3-go listopada 1895. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę. **Redakcya:** Poznań, św. Marcin 22. II p. **Administracya:** Piekary nr. 6. **Rękopisów drobnych nie zwracamy.**

PRZEDPŁATA KWARTALNA wynosi **w Poznaniu 4,00 mrk.** Przyjmuje Administracya: Piekary 6. **w Niemczech i Austryi 5,00 mrk.** (3 złr.), w innych krajach europejskich i w Ameryce **5,50 mk.** — Prenumeratę przyjmują **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 90. a.**

OGŁOSZENIA: 20 fenigów od wiersza petytowego.

Pojedyńczy numer: w Poznaniu 40 fen. — pod opaską 45 fen.

Treść:

Zwycięstwo.

W tej samej chwili, gdy naród polski przestąpił próg drugiego stulecia niewoli, w tej samej chwili, gdy echo wiekowych nędz, bólów i zawodów głośniej niż kiedykolwiek w uszach nam zabrzmiało, popłynął ku nam z górnoszląskiej ziemi dźwięk nadziei i hasło zwycięstwa. A uderzyły one tem silniej w struny sercowe, że w godzinach żałoby zawitały do nas, i tem radośniej, że społeczeństwo z trwogą i nieufnością wyglądało rezultatów walki. Gdy prasa górnoszląska rzuciła rękawicę możnowładzcom niemieckim i mecenas Radwański stanął przeciw bar. Huenemu do wyborczej walki, upatrywano w tej akcyi bojowej raczej środek agitacyjny, raczej energiczną przestrogę, wysłaną pod adresem stronnictwa centrum, niż gwarancyę zwycięstwa. Optymiści nawet kręcili głowami, powtarzając tylko: „Padniemy z honorem. Za rychło jeszcze na stanowczy tryumf.“

Ośmieleni dwukrotnem zwycięstwem majora Szmuli i gospodarza Strzody, nie stanęliśmy zrazu w szeregach sceptyków, lecz gdy dzienniki wieść rozniosły po świecie, że wszystkie stronnictwa niemieckie zrzekły się oddzielnej akcyi wyborczej na korzyść kandydata centrum, że, innemi słowy, cały żywioł niemiecki, bez względu na ideowe różnice, zawarł kartel silny dla zduszenia polskiego posła, — wtedy i u nas pojawiły się poważne wątpliwości i zachwiała się wiara w zwycięstwo. Lękaliśmy się nadto, czy ostróżny i chwiejny „Katolik“ bytomski nie zatrąbi w ostatniej chwili do odwrotu, a przynajmniej, czy z należytym naciskiem i niedwuznaczną jasnością wytknie czytelnikom swoim – a tych jest 16,000 — cel i konieczność walki. Obawy okazały się płonne. „Katolik“ zdecydował się rozpocząć walkę stanowczą i chociaż całe duchowieństwo górnoszląskie stanęło przeciw ludowi polskiemu, chociaż ambona stała się rozsadnikiem krzykliwej agitacyi, chociaż w potężny organ bytomski kler uderzył z całą bezwzględnością brutalną, on powtarzał swoje *„Ceterum censeo“*: Radwański musi być posłem. „Katolik“ długo nie ufał własnej potędze i niespożytym siłom odrodzonego ludu, — dziś widząc świetne owoce stanowczości i odwagi swojej, przekonał się niezawodnie, że wraz z ludem polskim jest cyfrą tej miary, której bezkarnie lekceważyć nie wolno, że nie ulegać, lecz dyktować może prawa swoje duchowieństwu, przejętemu zasadami Bismarckowskiej szkoły. Rozumiemy dobrze, jak przykrą być musi ta walka z katolickim klerem dla pisma szczerze, a nawet fanatycznie katolickiego, ale tam, gdzie o przyszłość ludu polskiego toczy się bój zacięty, tam jedną tylko godzi się uznawać zasadę: *Salus populi suprema lex esto.* Jeżeli na drodze staje sługa Chrystusowy i zdusić pragnie rozwój narodowy, to w tej samej chwili przestaje on reprezentować Kościół, a reprezentuje tylko pewien kierunek polityczny i wtedy lud polski nie walczy z księdzem i Kościołem, lecz z polityką przybraną w duchowną sukienkę. Te dwa pojęcia ściśle odgraniczać należy, lubo tak na górnoszlązkim jak na poznańskim gruncie starają się pewne koła usilnie wprowadzić tu zamieszanie pojęć, aby w mętnej wodzie tem łatwiej tłuste ryby łowić.

Czem duchowieństwo niemieckie było w ubiegłych stuleciach dla zachodnich Słowian, o tem świadczy wymownie kronika Helmolda, — czem jest dzisiaj dla Górnego Szląska o tem roczniki „Nowin Raciborskich“, „Gazety Opolskiej“ i „Katolika“, o tem korespondencye do poznańskich czasopism, o tem dzieje ostatnich zapasów wyborczych mówią głosem goryczy i smutku. Księża górnoszląscy w stosunku do ludu polskiego nie różnią się niczem od landratów i urzędników pruskich, a nienawiść ich do wszystkiego, co polskie, nosi wyrazisty stempel fanatycznego szowinizmu, — tylko wpływy tych „urodzonych przywódców ludu“ większe niż potęga biurokracyi niemieckiej i dla tego wróg to niebezpieczniejszy niż którykolwiek z przeciwników naszych. W takich warunkach odrodzenie ludu górnoszląskiego w duchu narodowym wymaga niezwykłej energii i odwagi, a rozwój jego ciężki jest i powolny, bo tamowany przez tych, których ukochał głęboko. Jest jednak w idei narodowej siła tak potężna, że żadne uczucie wobec niej ostać się nie może, i nie ulega już żadnej wątpliwości, że lud górnoszląski otrząśnie się prędzej czy później z tych kleszczów duchownych, w które go ujęto, i pójdzie za głosem ojczyzny. Że w tym procesie emancypacyjnym ucierpi powaga duchowieństwa, tego miarodawcze koła nie pojmują czy też pojąć nie chcą, lubo najelementarniejsza znajomość zasad psychologicznych rezultat ten znajdzie niezawodnie w obliczeniach swoich. Hasło duchowieństwa: „Przeciw ludowi!“ zrodzić musi niewątpliwie hasło inne: „Przeciw duchowieństwu!“ a nieufność ludu wyrosła na politycznych zagonach gotowa iść dalej i do bram Kościoła zapukać. Sympatye i antypatye ludzkie nie płyną w ciasnem, ściśle odgraniczonem korycie, lecz rozlewają się szeroko i ogarniają wszystkie instynkty i myśli ludzkie.

Rzecz inna, czy rozwój idei narodowej dziś już tak silnym jest na Górnym Szląsku, że samoistnie, bez pomocniczych czynników lud na pole walki przeciw długoletnim opiekunom i nauczycielom poprowadzić może. Łudzić się nie wolno. Jeżeli istotnie zwyciężyliśmy nad urzędowym kandydatem niemieckiego centrum, jeżeli zwycięstwo nasze prezentuje 12000 głosów przeciw 5000, to obok rozbudzenia narodowego, obok przekonania, że obowiązkiem Polaków Polaka obierać, obok pragnienia, by poseł ludu polskiego mówił po polsku i praw języka narodowego bronił energicznie, odegrały tu rolę poważne czynniki społeczne. Tu nie tylko o język, o polskość, lecz o chleb toczyła się walka, bo przeciw mecenasowi Radwańskiemu stanął baron Huene, reprezentant wielkiej własności ziemskiej, stronnik przeróżnych ciężarów podatkowych, przeciwnik ustawy o odszkodowaniu strat wyrządzonych przez zwierzynę. Wyborca górnoszląski widział w baronie prócz Niemca, czychającego na język jego, patrycyusza sięgającego do sakiewki ludu i oto! do kwestyi narodowej przyłączyła się „kwestya żołądkowa“. Centrum górnoszląskie stanowi właśnie arystokratyczny odłam wielkiego stronnictwa i różni się zasadniczo od tych żywiołów, których szeregom partyi dostarczają południowe Niemcy. Wszystkie elementy „centrowe“ łączy wspólna idea katolicka, lecz rozdziela je mnóstwo diametralnie przeciwnych interesów ekonomicznych, które prędzej czy później sprowadzić muszą poważne starcie i rozbicie partyi. Geniusz Windthorsta i walka kulturna stanowiły kit pożądany, spajający w jedną całość rozbieżne kierunki, — dziś jednak słychać coraz częściej trzask głuchy i gmach potężny grozi rozpadnięciem.

Odłam górnoszląski stronnictwa centrum jest dziwnem istotnie zjawiskiem w dziejach parlamentaryzmu niemieckiego, bo reprezentant ten okręgów *demokratycznych* ukazuje wyraźnie fizyognomią *magnacką*. Sprzeczność ta opierać się może jedynie na fundamencie małego rozbudzenia ludu i w konsekwencyi

na ślepem zaufaniu do przywódzców politycznych, narzucających tłumom według własnego widzimisię kandydatów sejmowych i parlamentarnych; z tą samą chwilą jednak, gdy lud się budzi do myślącego życia i z posłusznego dziecka zmienia się w dojrzałego obywatela, świadomego praw swoich i warunków ekonomicznego rozwoju, znika z widowni polityczna anomalia *arystokratycznego posła z demokratycznych okręgów*. Rozbudzenie to na Górnym Szląsku jest dzisiaj faktem dokonanym i walka narodowa staje się tam równocześnie walką społeczną. Polacy to lud, Niemcy to szlachta, inteligencya i kapitał, — po jednej stronie chłop i robotnik, po drugiej wielka własność i burżuazya. Przeciwieństwa to zatem krańcowe, a sprawa narodowa zyskuje w kwestyi społecznej poważnego sprzymierzeńca niosącego w szeregi nasze te iskry zuchwałej i nieugiętej energii, którą w wyższym stopniu niż uczucie narodowe krzesa pożądanie chleba.

Odgrażają się dzienniki niemieckie, że mecenasa Radwańskiego centrum parlamentu do kadrów swoich nie przyjmie lubo obaj zapaśnicy walczyli pod hasłem centrowem. Jeżeli wróżby te nie są oparte na czczych przypuszczeniach, to zwycięzki poseł polski stanie się zawiązkiem stronnictwa przyszłości, składającego się z samych reprezentantów ludu górnoszląskiego. Wobec poważnych różnic narodowych i społeczno-ekonomicznych nie ulega żadnej wątpliwości, że stronnictwo to nie dziś to jutro powstanie na rozbudzonej do nowego życia ziemi górnoszląskiej.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej.

W artukule p. t. „Walka z gazetami polskiemi“ pisze „G a z e t a O l s z t y ń s k a“:

„Dopóki walka ta toczy się tylko po gazetach, dopóki z gazetami polskiemi walczy sie tylko w pismach niemieckich w sposób godziwy lub niegodziwy. dopóty walka ta nie porusza tyle umysłów i uważaną po części być może jako zwyczajny spór narodowościowy. Walka ta wtedy ze sprawami katolickiemi nie ma nic wspólnego, ani sprawie katolickiej nie szkodzi, bo co sie tyczy sprawy katolickiej, tak polscy jak niemieccy katolicy bronią jej jednakowo, przestrzegając przytem i proniąc swych odrębnych interesów narodowościowych.

W ostatnim czasie przeniosła się jednakże walka z gazetami polskimi, zwłaszcza u nas i na Szląsku, nawet do Kościoła, na ambonę. Przed kilku miesiącami dopiero doniesiono nam o świeżem wystąpieniu przeciw naszej „Gazecie Olsztyńskiej“ przy okazyi odpustu w pewnem miasteczku na Mazurach. Na Szlązku zaś obecnie z powodu odbywających się tam wyborów w kilku kościołach wystąpili duchowni z ambon nawet przeciw tak zasłużonej gazecie ludowej, jaką jest „Katolik“. Gazety szczerze katolickie. jakiemi są „Gazeta Opolska“ i „Nowiny Raciborskie“, ten sam los spotkał. Pisma te z ambon nazwane zostały rewolucyjnemi tylko za to, że przy wyborach popierały kandydatów takich, którzy po polsku umieją.

Ta najnowsza walka z gazetami polskiemi jest o tyle gorszą od innych, że ani ludu ani gazet polskich n i e o d s t r a s z y od bronienia swych praw i narodowości, a sprawie katolickiej wielce szkodzić może. Występowanie przeciw gazetom polskim z ambon mogłoby być dopiero wtenczas usprawiedliwione, gdyby pisma te głosiły jakieś błędne nauki lub zdania sprzeciwiające się zasadom Kościoła katolickiego. Zwalczać zaś gazety polskie z ambon za to, że narodowości polskiej bronią, jest ani nie na miejscu, ani z duchem Kościoła katolickiego wcale się nie zgadzające, bo Kościół nigdy na szkode lub korzyść żadnej narodowości nie pracował, a najmniej jest to rzeczą sług jego. Jeżeli się to zaś gdzie dzieje, to dzieje się właśnie tak jak być nie powinno pod żadnym warunkiem. Lud też nasz powinien wiedzieć, co o tem sądzić, aby w danym razie gazety polskiej z ręki wytracić sobie nie dać.

Występowanie przeciw gazetom polskim jest polityką i to polityka godzącą w narodowość polską, a pracującą na korzyść narodowości niemieckiej. Łatwo zatem odróżnić sprawy religijne, sprawy Kościoła katolickiego. których pierwszym stróżem jest kapłan, od spraw i interesów narodowości polskiej, które należą pod straż całego ludu polskiego“.

—

„K a t o l i k“ bytomski (nr. 128) w takich słowach święci zwycięztwo ludu polskiego przy wyborach w pszczyńsko-rybnickim okręgu:

„Patrzcie ludzie, co możecie, gdy sobie rece podacie i chcecie o sobie radzić! Niech to będzie zachęta dla całego ludu polskiego, ażeby zawsze i przy wszystkiem był zgodny, ażeby był wytrwały i stały w dobrych przedsięwzięciach. Dzisiaj jest radość wielka między całym ludem na Górnym Szląsku. Wszyscy podziwiają dzielność ludu polskiego w Pszczyńsko-Rybnickiem. A przeciwnicy ludu, Niemcy, muszą uznać. że jest siła żywotna w tym ludzie, że jest w nim poczucie obywatelskie i polskie. Każdy uczciwy Niemiec uszanuje ten czyn ludu polskiego i nabędzie szacunku dla niego. O nieuczciwych nam nie chodzi.

Przez to zwycieztwo udowodnił lud polski, że swego prawa do życia nie odda za nic, że chce żyć, jako lud polski, że się nie da zniemczyć ani gwałtownym, ani łagodnym sposobem, że będzie walczył sposobem legalnym i prawnym o swoje prawa“.

—

Z powodu projektu pruskiego ministra handlu, dotyczącego organizacyi rzemiosł i stanowiska posłow polskich do naszych kół rzemieślniczych wypowiada „O r ę d o w n i k“ (nr. 248) zdanie następujące:

„Dzien. Pozn.“ pozwolił sobie znowu użyć znanego frazesu: że „posłowie nasi n a r z e k a j ą, iż p o z o s t a j ą b e z i n f o r m a c y i z kół rzemieślniczych“.

Kto tu z kogo ma się śmiać: czy posłowie z „Dziennika Pozn.“, czy rzemieślnicy z posłów polskich?

Kto kiedy słyszał posłów naszych narzekających na to — n a s e r y o? Iluż to jest miedzy naszymi posłami takich, co są faktycznie zdolni rozmówić się z światlejszym rzemieślnikiem o sprawach rzemieślniczych? Kiedy widziano jakiego posła na zebraniu Młodych Przemysłowców, gdy tam była mowa o sprawach rzemieślniczych? Kiedy słyszano jakiego posła na Zjazdach Przemysłowych, żeby w dyskusyi wziął żywszy udział i swe zdanie ugruntował? Jeżeli się zjawi na Zjeździe, to na to. by czekać na sali, aż go na estradę poprosza.

„Dziennik“ pisze, że bodaj dopiero 3 Towarzystwa sprawe organizacyi rzemiosł poruszyły. Nam wiadomo nawet tylko o jednem, tj. o Tow. Młodych Przemysłowców. Niech „Dziennik“ nie spodziewa sie, żeby tych Towarzystw było wiele. Rzecz jasna: referowanie o projekcie ministra handlu nie jest dla każdego przemysłowca? A zkąd ma przemysłowiec nawet inteligentny poszukać materyał do referatu? Gdy go poszuka, zkad ma wziąć czas, żeby go z rozwagą przeczytać?

Ale kto z łatwością może przyjść do takiego materyału, kto ma czas do tego? — O t o p o s e ł p o l s k i! — Kto materyałów tych nie czyta? — oto p o s e ł p o l s k i!

Nie rzemieślnik powinien dawać posłowi pierwsze informacye, ale poseł rzemieślnikowi — naturalnie musiałby poseł przysieść fałdów i czytać skrypta. Lżej jest nie czytać, a za to „narzekać“, że rzemieślnicy nie dają informacyi.

Niech „Dziennik Pozn.“ nie powtarza więcej tych frazesów o „narzekaniu“ posłów, bo to w dość szerokich kołach rzemieślniczych tylko śmiech budzi. Wiekopomną zasługą ruchu ludowego z partya dworską pozostanie to: że rozmaite gatunki uświęconych frazesów zostały tak gruntownie wymłócone. iż pozostało z nich to, co w nich było, to jest plewa, którą ta walka na cztery świata strony rozdmuchała. Możecie panowie w swych gazetach i poza gazetami

---

Kandydat na radcę.

OBRAZEK KRAKOWSKI.

(C i ą g d a l s z y).

To określenie p. Mojżesza Salzstangla, lubo nie dalekie od prawdy, nie okazało się jednak dostatecznem dla pana Antoniego. Zaczął tu i owdzie ciągnąć za język swoich lokatorów, wysłał na zwiady panią Antoniową, konferował z p. Józefem, co przed trzema laty o mało nie został ojcem miasta, i tak zwolna, zwolna przyszedł do posiadania potrzebnych wiadomości, a że miał głowę na karku i spryt w zapasach życia wyrobiony, postanowił sobie zapalić Panu Bogu świeczkę i djabłu ogarek, to jest postarać się o dobrą opinią i tu i tam, bo kto wie, co z tego wypaść może i czyjemi głosami wejść będzie można do Rady.

Rozpoczął więc od zaprenumerowania „Czasu“ i „Reformy“; za oba pisma złożył osobiście całoroczną prenumeratę do dnia 1 maja 1888 r. W administracyi obu pism chwalił ich przekonania, zapewniał, że do tej chwili prenumerował w agencyach, że od lat trzydziestu nigdyby nie zasnął, gdyby „Czasu“ wprzód nie przeczytał. że „N. Reforma“ zawsze go do dobrego humoru doprowadzała, — słowem jak mógł i jak umiał starał się dobrze przedstawić tam, gdzie za 10 centów dziennie można nabyć rozumu i wiele innych pożytecznych wiadomości, nie wyjmując „zdania Turka“ o pierniku hygienicznym i cennych wskazówek prof. von Orlice o grze loteryjnej. Nazwisko Gandziarskiego pomiędzy członkami obu administracyi zyskało prawo obywatelstwa i zapisano je sobie w pamięci ze względu na dwa głosy mniejszej realności, bo kamienica na ulicy Szewskiej zahipotekowaną była na imię pani Antoniowej.

Uczyniwszy te przedwstępne kroki, pan Antoni postanowił przedewszystkiem zająć pozycyą w obozie konserwatywnym. Obóz ten, jak wiadomo, chlubi się z przywiązania do wiary ojców (co nie obowięzuje niektórych jego przywódzców, którzy w nic nie wierzą), a kapłan ma w tym obozie powagę i znaczenie (n. b. jeżeli jest mu potrzebny). Pan Antoni myślał przeto i myślał jakby zapukać do serc pobożnych, nie narzucając się swoją osobą, a tylko czynami dając wyraz swej bogobojności.

Bardzo dobrą sposobność nastręczyły nabożeństwa majowe. Pan Antoni regularnie o godz. 7 wieczorem sunął do kościoła Panny Maryi i wchodził wejściem do kościoła św. Barbary, rozglądając się uważnie w koło, czy go jaki reformista nie zoczy. Z chwilą wejścia do kościoła był już pewny siebie: tu go wszyscy widzieć mogli i powinni. Kto tu przyszedł jest pobożnym i nabożeństwem jego tylko zbudować się może. Klękał więc na ziemi, rozłożywszy poprzednio chustkę fularową i choć kolana bolały, a pot z czoła kapał, nie ustawał w żarliwości, bił się co chwila w piersi, przerzucał kartki „Miesiąca Maja“ i dobywał takiego głosu, że klęczący opodal z przestrachem i podziwieniem na niego patrzali, nie wiedząc czego mu zazdrościć: czy dwóch kamienic i gruntu nad Rudawą, czy tak potężnego organu, szturmem zdobywającego niebiosa. Służba kościelna z uszanowaniem zbliżała się do niego, a on nie przerywając śpiewu, wyjmował z kieszonki nową 20-centówkę i rzucał do skarbony. Już nabożeństwo skończone, kościelni świece zaczynają gasić, a pan Antoni jeszcze zatopiony w modlitwie. Nareszcie schylał się, całował marmurową posadzkę kościoła i wychodził ze świątyni, obdarzając biednych i biedne czworakami. Manipulacyą tę odbywał powoli, aż księża wychodząc zbudowali się jego filantropijnemi uczynkami. Wówczas ostrożnie rzucał okiem przed kościół, a przekonawszy się, że żaden liberał nie szpieguje, wypadał czemprędzej na trotuar. Raz przypomniał sobie po latach trzydziestu, bo pamięć ma bardzo słabą, że właśnie w dzień św. Filipa Nereusza, zszedł z tego świata, pojednawszy się z Bogiem, ojciec jego, jak wiadomo właściciel dóbr na Podolu. Miłość synowska, choć późno, odezwała się, a troska o spokój duszy nieboszczyka kazała udać się do jednego z duchownych

robić, co chcecie, dla ratowania powagi frazesów i haseł, które wam służą, zawsze się teraz znajdzie w społeczeństwie spory zastęp ludzi myślących który te hasła serdecznie wyśmieje i ramionami wzdrygnie. Walka, o której wyżej mowa, osadziła mnóstwo dotąd ukoronowanych frazesów i haseł — na etacie wymarcia".

—

„P r z e g l ą d W s z e c h p o l s k i" zamieścił w Nr. 19 ciekawą ocenę prasy warszawskiej. Z artykułu tego cytujemy ustępy następujące:

Dziennikarzy warszawskich można, ogólnie biorąc, podzielić na cztery kategorye. Pierwsza — to starzy matadorowie dziennikarstwa, którzy wystąpili w szranki w czasach, kiedy prasa uważała sie z dużą słusznością za przedstawicielstwo narodowe. Ludzie ci przywykli wysoko nosić sztandar swego powołania, a znaleźć miedzy nimi można nieposzlakowane charaktery, wysokie talenty publicystyczne i duże wykształcenie. Druga — to ludzie, którzy sie wzięli do pióra w okresie przełomu umysłowego po powstaniu z wiarą, iż są powołani do przerobienia społeczeństwa. Staneli oni odrazu w silnej opozycyi przeciw starej, konserwatywnej prasie, później jedni zmienili przekonania, połączyli się ze starymi — którzy ze swej strony pod wpływem krytyki w znacznej mierze przystosowali sie do ducha czasu — inni zaś złagodnieli w opozycyi skutkiem doświadczenia, zrozumienia wielu rzeczy, a czasami i zobojętnienia. Ta kategorya, ogółem wzięta, to ludzie też przeważnie zdolni, czasami bardzo wybitni, zwłaszcza polemiści; posiadają oni na ogół często duże, i — jak na dziennikarzy, gruntowne wykształcenie, innego jednak rodzaju, niż starzy, więcej współczesne, wreszcie odznaczają się przeważnie uczciwością w zawodzie, do którego popchnęło ich w swoim czasie powołanie i chęć służenia społeczeństwu. Trzecia kategorya — to ludzie z talentem literackim, którzy zaczęli karyerę od wydania powieści, tomu nowel lub poezyi, a później wciągneli się powoli, dla kawałka chleba, w robotę dziennikarską, czestokroć nie odpowiadającą ani ich usposobieniu, ani zdolnościom. Między nimi mamy ludzi z najrozmaitszymi stopniami i rodzajami wykształcenia zarówno jak i charaktery rozmaitej nader wartości. Talent nie jest dostateczną ochroną od upadku moralnego, i ludzie, którzy wzięli się do pewnej pracy bez powołania, jedynie dla chleba, muszą często pod względem moralnym wiele do życzenia pozostawiać. Czwarta wreszcie — coraz liczniejsza kategorya — to najświeższa formacya dziennikarzy współczesnych z rodzaju, rojącego się na bruku każdego wielkiego miasta — ludzie, którzy wzięli się do dziennikarstwa, by zużytkować swój spryt, połaczony przeważnie z brakiem skrupułów moralnych, ludzie, którzy postanowili iść na przebój przez życie, oglądając się tylko dla ocenienia, co więcej popłaca. Ten rodzaj ludzi zaczyna mieć coraz więcej w prasie znaczenia, zajmuje coraz bardziej wpływowe stanowisko, obniżając etykę dziennikarską i prowadząc do przekształcenia stosunków prasowych na jak najbardziej handlowe, przez schlebianie najpospolitszym gustom, wyzyskiwanie słabostek i głupoty czytelników i tysiące sztuczek konkurencyjnych. Wydawcy tego rodzaju ludzi poszukują, bo w nich widzą przyszłość „interesu".

...Pod względem literackim prasa warszawska przedstawia o wiele większą wartość od prasy innych zaborów. Język, aczkolwiek szwankujący w pismach brukowych, przerabiających szybko artykuły polityczne z prasy zagranicznej, jest naogół dobry, a w niektórych pismach wzorowy, w czem niestety, pisma te znajdują naśladownictwa ze strony prasy innych dzielnic. Większe pisma posiadają dobre siły publicystyczne, i podają czytelnikom artykuły oryginalne, często dużej wartości. Wreszcie krytyka literacka, jeżeli istnieje w pismach codziennych polskich, to tylko w warszawskich.

...Wzajemne stosunki wśród dziennikarstwa są tu o wiele znośniejsze, niż gdzieindziej, ludzie sie tu poczuwają do pewnej solidarności koleżeńskiej i obywatelskiej, aczkolwiek pisma, zwłaszcza brukowe, silnie ze sobą współzawodniczą, używają w walce środków, wyszydzanych często przez resztę prasy.

Tak, prasa warszawska jest stanowczo najlepszą częścią prasy polskiej, jest nią pomimo pływu cenzury. Należy jednak stwierdzić że stopniowo ona upada. Rząd coraz więcej ją krępuje, gdy życie społeczne rozwija się i wymagania jego rosną skutkiem czego prasa coraz mniej odpowiada wymaganiom społeczeństwa, coraz mniej jest przedstawicielką opinii. Stanowisko dziennikarza coraz mniej ma znaczenia, co powoduje, że ludzie lepsi rzadko dziś wchodzą do pism, które coraz bardziej zapełnia czereda, słaba umysłowo i moralnie. Ci ludzie, nie będąc w stanie, skutkiem niskiej wartości własnej i trudnych warunków zewnętrznych, zaspokoić lepszych upodobań, schlebiają najniższym gustom, zapełniają szpalty pism błahostkami, wiadomostkami bez ogólnego znaczenia, skutkiem czego uwaga ogółu odciągana jest od najodpowaźniejszych zagadnień.

— ski.

LITERATURA I SZTUKA.

Do Jana Kasprowicza.

Słuchałem pieśni — nie tych, co w spokoju
Do snu kołyszą świat cały d› koła,
Lecz pieśni, ktore pobudką do boju
Jak burza świszczą skrzydły archanioła,
Co opiewają, jak w pocie i znoju
Dla obcych kipią biedne ludzkie czoła,
I wśród ciemności nad jarzmem człowieczem
Błyszczą puklerzem i ognistym mieczem.

Słuchałem pieśni. — nie tych, co słuch pieszczą
Różą, słowikiem, gwiazd cichem marzeniem,
Nie tych, co złudą jaśniejące wieszczą
Apokalipsy zdają się być pieniem, —
Lecz tych, co wichrem huczą i szeleszczą
Nad starych grobów i ruin sklepieniem,
I które skute z życiem, z walką, z bytem,
Echem ich ciągłem. bólem, jękiem, zgrzytem.

Słyszycie? Echa to krwawych zapasów,
Co na arenie igrzysk niegdyś wrzały,
Gdzie wśród przyklasków i dzikich hałasów
Gladjator brata zabijał zbestwiały.
I stanął dumnie pośród tych pariasów
Hardy niewolnik w stal zakuty cały,
By wieść jak Spartak ich z lochów na słońce,
A oni miecze wznieśli na obrońcę.

W nich „dusza płacze", — a wiedzcie — to znaczy
Być swoich własnych cierpień sędzią — katem,
Być serc olbrzymem, a ginąć w rozpaczy,
Rwać serce własne i drgającym szmatem
Ciskać wśród ludzi, a nie mieć słuchaczy.
Znaczy to zwiędnieć woniejącym kwiatem,
Który, gdy w słońca świcie zadrży rosą,
Zdepcą nieczuli, lub na targ poniosą.

Czy Prometeja serce silniej drgało.
Kiedy przykuty do skalistej kępy,
Pod obrożami prężąc swoje ciało,
Nadlatujące w górze ujrzał sępy?
O serce wielkie, coś ból taki znało,
Na cóż zrastają krwawe znów się strzępy?
Na to, by wiecznie ptactwa chmura szara
Niem się karmiła, — i za cóż ta kara?

I ty jęczałeś za żelazną kratą,
Płacząc łzy czyste, co stały sie ciałem,
Kiedyś potesknił za braćmi. za chatą,
A oni potem nienawiści kałem
Rzucili na cię niewdziecznych zapłatą.
I grad kamienny, piętrzący sie wałem,
Rósł poza tobą, kiedyś ztąd uchodził,
Tuląc do piersi to, co ból ci zrodził.

O dźwięcz nam, pieśni, ty, z bolu zrodzona,
Której Goplana w noce ciche, letnie
Dawała posłuch, tuląc cię do łona,

---

przy kościele Najśw. Panny Maryi zostających, z prośbą o odprawienie nabożeństwa żałobnego za duszę „niezapomnianego rodzica". Przy sposobności przyszła mu na pamięć i ciotka, wdowa po referendarzu stanu Królestwa Polskiego, która jakoś również w maju pożegnała się z tym światem, — przeto więc od księdza z kościoła Panny Maryi, podążył do OO. Jezuitów i prosił pokrnie ojca Kornela o odprawienie mszy św. za duszę zacnej swojej opiekunki. Przez pamięć dla jej cnót i pobożności wpisał się pan Antoni do bractwa Serca Jezusowego, prosząc, aby w intencyach na czerwiec został zapisany do liczby tych, za których wniesione będą modły, aby pokusy zmysłowe nie trapiły ich do końca ziemskiego żywota. Serdeczność i prostota, z jaką pan Antoni załatwiał religijne potrzeby swego serca, skłoniła Ojca Kornela do pogawędki z pobożnym obywatelem, z której nabył przekonania, że właściciel dwóch kamienic i gruntu nad Rudawą oddaje życie swoje wyłącznie modlitwie, rodzinie i uczynkom miłosiernym, a tylko formalności prawne, przeszkadzające mu w dowolnem na razie rozporządzaniu majątkiem, wstrzymują go od pielgrzymki do grobu św. Piotra, przy którym pragnie złożyć poważniejszą sumę na cele misyi afrykańskiej. Przy pożegnaniu prosił uprzejmie pan Antoni O. Kornela o wstawienie się do ojca Stanisława, znanego spowiednika, aby pozwolił mu złożyć przed sobą spowiedź z całego życia, do jakiej potrzebuje paru miesięcy przygotowania.

Mówią, że dobre i pobożne uczynki mogą się stać potrzebą życia; mówią, że są święte niewiasty, co z modlitwą na ustach do Boga, łączą osładzanie doli nieszczęśliwym i znajdują w tem taką rozkosz, jakby dobrze samym sobie czyniły; mówią, że są ludzie, którzy raz wszedłszy na drogę miłosierdzia, kroczą po nich z uszczerbkiem własnych potrzeb, z prawdziwem zaparciem się i że to staje się prawie ich nałogiem, drugą naturą. Że tak jest, wątpić nie należy, — pan Antoni jednak nie mógłby na sobie stwierdzić prawdy słów powyższych. Wróciwszy do domu dowiedział się od żony, że Józka, niańka przy jego najmłodszem dziecku, obawiając się, że mały Henryś wyleci z łóżeczka, rzuciła trzymaną w ręku karafkę i pochwyciła malca w chwili niebezpieczeństwa. Pan Antoni po stosownej przemowie do Józki, zapisał w notatniku karafkę do wytrącenia jej przy porachunku. Wypadkiem tym czuł się zdenerwowany i na tę nieszczęsną chwilę natrafił stróż Jędrzej z prośbą o parę reńskich zaliczki, gdyż kobiecina powiła mu synka i jest niebezpiecznie chora. Tego było panu Antoniemu za wiele. Nietylko nie wspomógł Jędrzeja, ale zapowiedział mu z góry, że dwoje dzieci dla stróża wystarcza i że, gdyby poważył się mieć jeszcze trzecie, to go wyrzuci jak psa, bo stróż jest dla kamienicy, a nie dla romansów, bo stróżka powinna obsługiwać właściciela i lokatorów, a nie chorować z własnej winy, bo mnożenie proletaryatu jest zbrodnią, a on, pan Antoni, przykładać ręki do zbrodni nie może. Jędrzej wyszedł ze łzami w oczach, myślał długo nad zbrodnią „proletatu", jaką popełnił i poszedł się użalić do kuma Jana, gdzie zastał oprócz jego baby, pana majstra szewskiego z suteren na Pędzichowie i krupiarkę Jacentową. Ci nie potrafili mu rozwiązać zagadki o „proletacie". ale zebrali między sobą i od Mańki z przeciwka 1 złr. 68 ct. i pożyczyli Jędrzejowi na słowo.

II.

Nazajutrz rano pan Antoni udał się do pana Filipa, o którym była wzmianka na początku niniejszego opowiadania. Pan Filip jest to ciekawa ze wszech miar osobistość. Poświęcał się niegdyś trochę literaturze, trochę naukom przyrodzonym i medycynie, wygrał kilkanaście tysięcy na loteryi saskiej, potem studyował nieco muzykę, był zawołanym fortenzerem, miał wielkie szczęście do kobiet, zwłaszcza do pani mecenasowej Replickiej, handlował przez czas niejaki końmi i winem szampańskiem, — słowem pracował gdzie mógł i jak mógł, aby tylko to marne życie przepędzić. Ta różnostronność zajęć dozwoliła panu Filipowi rywalizować nawet z profesorką Bajczarską na polu znajomości osób, stosunków i stosuneczków naszego miasta. Jeżeli się te dwie

Do pieśni sielskiej strojąc twoje fletnie,...
I ty, co w celi więźnia, zda się, kona
Jak kwiecie wątłe, kiedy śron je zetnie —
I wy, co zbrojne wrogim walki gniewem
Nowego jutra macie być posiewem.

I wy wyrosłe „na chłopskim zagonie“,
Smutne gawędy w serdecznej prostocie,
Szorstkie i twarde jak te chłopskie dłonie
W bruzdy zorane w pracy ciężkiej pocie,
Dźwięczcie! a dźwięk wasz na ostatnie błonie
Niechaj rozpływa, budząc echa krocie
W sercach tych ludzi, co w szczęśliwszej doli
Nie zapytają innych, gdzie ich boli.

Alastor.

Sylwetki poetów czeskich.

III.

J. S. Machar.

Do niedawna królem poezyi czeskiej był Jarosław Vrchlicky, vice-królem Swiętopełk Czech. Obaj wykwintni pod względem formy, obaj romantycy, różniący się tylko odcieniami. Pierwszy brał do swych pieśni tematy ogólne, częstokroć filozoficzne, najmniej mu się udające, — drugi zrywał kwiecie z niwy swojskiej i wił z niego wianki. Ci dwaj dzielili niepodzielnie władzę. Mniej lub więcej wyćwiczone wojsko szło za nimi, uważając ich za wodzów. Ale nietylko wojsko lecz i publiczność w Vrchlickym i Czechu widziała skończonych strategików. Tymczasem na zachodzie odbywały się ulepszenia na polu poezyi. Starsza generacya nie wiele o tem wiedziała, śród młodych czechów jednak powoli wyrabiał się żywioł krytyczny i w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia widzimy już walkę ze starszyzną. Wtedy rzucił też Machar pierwszą wiązankę pieśni, pod tyt. „Confiteor“.

„Cóż to za jeden z wichrów mojej młodszej braci
„Tak poziomego lotu, nikczemnej postaci,
„Smie deptać lądy, którem w dziedzictwie osiągnął?
„Ryknął i ku Macharowi w kształcie nożyc ciągnął.

Był to sforny szereg poetów, którzy uczuli się zachwiani śmiałem wystąpieniem młodzieńca. A jednak Machar nie uląkł się i pole walki bez zaprzeczenia należy do niego. Machar jest dziś uważany za przywódzcę młodego pokolenia, czeskiej *„moderny.“* Nie jest on przecież krańcowym przedstawicielem najnowszych kierunków poezyi. Jeśli Vrchlicky jest romantykiem-kosmopolitą, a Czech romantykiem - patryotą, — Machara można uznać, jak trafnie określił go jeden z krytyków czeskich, romantykiem-psychologiem. Uczuciem romantyk, głową, umysłem psycholog spostrzegawczy i wzbogacony płodami nowoczesnej nauki. — Sam o swej muzie mówi, jako o dziecku *Musset'owskiem.* O ile mu jednak ustępuje pod względem formy, o tyle przewyższa go rozległością horyzontu. Za rozumny, żeby nie widział, za uczuciowy, aby nie przebolał błędów jakiemi ziemia jego czeska jest obdarzoną! To też w pierwszych zaraz książkach: „Confiteor“, „Bez nazwy“ i Trzecia księga liryki,“ — spotykamy się z krytyką nowoczesnego życia czechów, a oprócz tego z erotyką.

I w pierwszej i w drugiej Machar występuje z maską na twarzy, z maską ironii i czasami cynizmu. Jeśli ironia więcej spokojna, więcej bolesna dla samego autora, niż zjadliwa, odpowiednią jest dla Machara, aby nadto nie okazywał siebie i ran, krwawiących mu serce, ran, które tak mało znalazły współczucia śród starszych, — to przebłyski cynizmu nie wydają mi się być naturalnemi.

W następnych też pieśniach Machar zarzucił go prawie zupełnie.

W wzmiankowanych wyżej księgach Machar nie żałuje pióra, aby niem opisać wady narodu. Czy to kiedy wyśmiewa patryotyzm, ukazujący się zazwyczaj na języku, mówiąc, że choć rzeczywiście narodową jest owa komedya i choć umiemy ją grać z natchnieniem, ale obczyzna nie przestaje się śmiać, bo „ojczyzna nasza jest Galileą, która nie ma proroków“; czy wówczas, gdy maluje zwykłego „bourgeois“ lub życie miejskie, bądź, gdy w wierszu do Machy pełen miarkowanego bolu odzywa się do krytyki i do stojącej poza nią publiczności, że „to błoto starła dziś z martwego twego czoła, by żywych wieszczów skronie mogła zbrukać niem“ — wszędzie widzimy prawdę i rzetelne cierpienie młodego piewcy, ukryte po za obłokiem bądź melancholii, bądź ironii. Spokojna melancholia, ożywiona czasem lekką ironią, najodpowiedniejszą jest dla pióra poety czeskiego.

Lecz nie tylko rzucenie kija w gniazdo patryotycznych os syczy w pierwszych książkach poety; prawdziwa erotyka, nie buduarowa jak Czesława Jankowskiego, choć nie mniej wykwintna, zajmuje w nich sporo miejsca. Musset i Heine nie powstydziliby się tego zbiorku.

Prócz tego Machar uderzył kilkakrotnie w tematy ogólniejsze, że wspomnę o „Posledni cescie“ („ostatniej drodze“,) w której biedny rzemieślnik, wiedząc, że za dni parę musi zakończyć żywot, idzie do szpitala sprzedać za guldena i 5 centów swego przyszłego trupa, aby tylko rodzinie przynieść trochę strawy. Najmłodsza jego dziecina, z cukierkiem w ręku, kończy ten wiersz, mówiąc: „to dał mi tatunio, gdy przyszedł dziś do domu“. Biedne dziecię nie wie, że zjada spieniężonego ojcowskiego trupa.

Zaprawdę, gdy przeczyta się te 3 zbiorki, zrozumieć nie podobno, dla czego tkliwą duszę poety, pełną miłości dla kraju i cierpiących, spotkały gromy ze wszystkich gardzieli prasowych.

Wkrótce potem Machar wydał cykl sonetów wiosennych, letnich, jesiennych i zimowych. Z wyjątkiem jednego z tych cyklów, słabszego od innych pod względem formy i treści, — wszystkie tego samego zdradzają Machara.

Zwięźle, elegancko, za pomocą trafnych porównań i umiejętnego odtwarzania uczuć, kreśli poeta najdelikatniejsze odcienia usposobień ducha ludzkiego. To znów szkicuje zlekka obrazki dnia lub nocy, nakładając wszędzie barwy ciepłe, delikatne, bo nawet surowość zimy i przenikliwy wiatr jesieni przyobleka w szaty, w jakich zwykła chodzić melancholia. Są ludzie, których głos nawet gdy się gniewają, ma ton miękki, gdy kłują, można dojrzeć głębokie uczucie, bo jeśli ranią kogo, czynią to niejako z powinności, choć im samym serce się krwawi. Machar należy do tegoż szeregu.

W cyklu sonetowym erotyka Machara w innem trochę przedstawia się świetle. Poeta

---

„chodzące kroniki przypadkowo gdzie zeszły milkło całe towarzystwo, ze zdumieniem patrząc na popis dwojga niezrównanych szermierzy języka. Czasami przychodziło do utarczki, raz n. p. Filip utrzymywał, że Alfons był siódmym z rzędu kochankiem pani Adamowej, pani Bajczarka zaś przysięgała na miłość do swoich dzieci, że na liście zdobyczy pani Adamowej należało się Alfonsowi ósme miejsce. Dłuższa dyskusya dopiero wyjaśniła, że pan Filip bawił podczas lata 1882 r. w Szczawnicy, a w tym czasie zawitał na trzy tygodnie z Warszawy do Krakowa hr. Kopcidło, mężczyzna nietyle piękny, o ile dystyngowany, i że tenże bez wiedzy rautującego w Szczawnicy pana Filipa, cieszył się względami pani Adamowej, a dopiero po jego wyjeździe pan Alfons stanął u mety swych życzeń. Pan Filip z całą delikatnością dobrze wychowanego człowieka przyznał słuszność pani Bajczarskiej i jeszcze tego samego wieczora zrewanżował się, okazawszy się bieglejszym znawcą ilości wprawionych zębów panny Eulalii.

Otóż do tego nieocenionego człowieka skierował swe kroki pan Antoni. Wyjawił mu swoje zamiary i prosił o radę i pomoc. Po dwugodzinnej naradzie obmyślono cały plan kampanii.

Przedewszystkiem należy trzymać się partyi konserwatywnej, bo ta ma znaczenie, władzę i stosunki i jak dotąd z małemi wyjątkami, była zwycięzcą przy wyborach. Z członkami jej trzeba się zaznajamiać, co ułatwi pan Filip, a zaznajomiwszy się, zręcznie zdobywać ich serca, do czego trzeba tylko trochę sprytu, czelności, a przedewszystkiem lokajstwa i zaparcia się własnego zdania. Przed profesorami uniwersytetu naprzykład należy dowodzić, że każdy z nich powinien mieć głos wirylny w radzie miejskiej, bo nikt tak nie stworzony do rozsądzania spraw bruków, rynien, śmietników i zużytkowania kompostów, jak profesor uniwersytetu. Należy się cieszyć wobec nich, że nowy gmach uniwersytecki, mieszczący w sobie „głowę moralną“ narodu, wkroczył „śmiałą nogą“ na plantacye, a smucić się z tego, że młodzieżą zawładnął duch rewolucyi i opozycyi. Nie źle jest popisać się ze znajomością historyi, która polega na grzecznem wyrażaniu się o mężach Targowicy, a na surowej naganie twórców Trzeciego Maja, choć z tem trzeba być ostrożnym, gdyż nie każdy konserwatysta jest tego wyznania wiary. Tu i owdzie należy wyrazić potrzebę zawiązania koalicyi antidemonstracyjnej, któraby niszczyła w zarodzie wszelkie jubileusze wolnomyślnych pisarzy, wszelkie stawianie pomników poetom zbyt rozgrzewającym młodzież. Wszędzie zaś będzie na miejscu powstawanie przeciw warcholstwu, które połączywszy się z socyalizmem, indyferentyzmem, anarchizmem, pozytywizmem, materyalizmem, oportunizmem, nihilizmem, komunizmem i antysemityzmem pragnie zniweczyć wiekowe zarobki ludzkości, aby na gruzach tradycyi, wiary i moralności zawiesić sztandar zaspokojenia zwierzęcych instynktów. Wszędzie również należy przysięgać, iż gdyby nie „Teka Stańczyka“, na każdą wiosnę (jeżeli nie dwa razy do roku) mielibyśmy powstanie — cieszyć się, że w ostatnich miesiącach przybyło trzech szambelanów i dwóch hrabiów, co jest krokiem potężnym do odbudowania ojczyzny. Dobrze jest również zachwycać się wspaniałością zabytków architektonicznych w byłym szpitalu św. Ducha, unosić się nad tęgo zbudowanemi aniołami w „Dziewicy Orleańskiej i wogóle nad tem „światem nieziemskim, przemawiającym symboliką swoją do serc i umysłu widza“ w obrazach Matejki. Krytyki teatralne „Czasu“ należy stawiać na równi z arabeskami Rafaela, a wstępnym artykułom przyznawać ważność dokumentów dziejowych. W pewnych sferach wypada wspomnieć o cywilizacyjnej misyi rulety w Monaco, jako mającą wyłączny już dziś dar przyciągania wyższego towarzystwa, co wobec upadku salonów europejskich nadaje jej niezwykłą doniosłość. Możnaby także wygłosić ochotę wpisania się do liczby akcyonaryuszów „Przeglądu lwowskiego“, gdyż chęci odrazu realizować nie potrzeba.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

nie bawi się w opisy rozkoszy miłosnych, zdrad lub bólów, powodowanych bądź to łudzeniem, bądź zwiędnięciem uczuć. Mówi on wiele o dobroczynnym wpływie kobiety: „Choć dziesięć cię otruje — przyjdzie jedna — i ta ci błogosławieństwem.“ Lecz i tu młodość i piękność, dobroć i przylepkowatość na pierwszym figurują planie. Myśmy przywykli chcieć od kobiety więcej, — u Machara ciężko byłoby np. znaleść jakieś socyalne pożądanie.

W zbiorku tym poeta nie zapomina i o nędzarzach, odnośnie których Bóg zbłądził dając im dwoje oczu: — „mógł im dać jedno — chudziak miałby dosyć. Po co mu patrzeć na wesele innych.“

Zbiorek ten w porównaniu z dawniejszemi pieśniami jest więcej melancholijny, mniej ironiczny.

W onym też czasie wydał poeta tomik „Pêle-Mêle“ trafnie tak ochrzcony, który bez straty dla Machara mógłby zdobić szufladki jego biurka.

W roku 1893 — w roku ustanowienia stanu wyjątkowego w Pradze, — wydał poeta 20 pieśni, powstałych pod wpływem Wiednia, w którym naonczas przebywał. Piosnki noszą wspólny tytuł „Tristium Vindobona“ — (Wiedeń smutnych). Poeta zmężniał. Podaje spostrzeżenia polityczne. Wyśmiewa kołysanie czechów między Wschodem i Zachodem, ironizuje walkę stron i wzajemne rzucanie sobie słowa „zradcovati“, którego utworzenie jest zasługą młodszych czasów; drwi z pomocy zewnętrznej, bądź francuskiej bądź rosyjskiej („potrzeba tylko, byśmy się zbliżyli, a szponem pięknie wydziobią nam wzrok.“) Wierszem krótkosylabowym, jędrnym i zwięzłym wciska się do głowy czytelnika, gdy ośmiesza „stare pergaminy,“ pożądania historycznego prawa państwowego, przemawiając za prawem przyrodzonem. W „bolesnej epistole“ domaga się boju tj. dążenia naprzód: — „dwa razy bojowaliśmy z całym światem o swobodę i o to, co jest nasze, a walczyliśmy pięknie; — lecz z tej sławy, jak niedźwiedź w zimie z bogatego tłuszczu, do dziś żyć chcemy w naszej mizerocie, choć sława ta już dawno przetrawiona, a niedźwiedź chudziak, jeno kość i skóra.“ Naprzód! — Wspaniale maluje dzień 1 maja na ulicach Wiednia i zręczne pisze epitaphium XIX stuleciu. W wierszu „Polsce“ charakteryzuje Polaków. Pełen szacunku składa hołd owej „Niobie, która okiem spoglądała Dolorosy“. Ale jakaż przepaść między bojującą, rewolucyjną Polską a dzisiejszą praktyczną stańczykeryą, która „na wspomnienie onego głupiego czasu (boju) — wstydzi się — spluwa — nie wspomina więcej.“ W oryginalnym wierszu: „W parlamencie“, poeta kilkoma rzutami szkicuje wzajemne ustępstwa za cenę dodanego ministra, lojalne cofanie wniosków i te błazeńskie mowy opozycyi (tu parodjuje domagania się czeskiego prawa na podstawie przysiąg królewskich), witane oklaskami kilku stronników a z nudów słuchane przez parę innych posłów, — nie dla treści, lecz dla dowcipu.

Pieśni te — to poezya polityczna. Darować więc trzeba autorowi nie dość wytworną częstokroć formę. Choć i tu dał poeta dwie pieśni: „Smutne perspektywy“ i „Na Kahlenbergu“, nie treścią jedynie bogate, ale przyozdobione (zwłaszcza ostatnia) w szaty pełne wykwintu i wdzięku. W pierwszych — na tle oddalonego dział grzmienia i szczęku broni Machar przedstawia nam rozkoszny Wiedeń, porównywując jego pląsy do uroczego walczyka, — ale w tejże chwili przypomina Czechy — „nasz naród! — bez steru, celu, wiosła... na prawo, lewo chwyta frazesy hasła — i w nich wszystką siłę, cały zapał traci“. — „Hosanna! Nasz Zbawiciel! — krzyczy naród — a w końcu osioł sam bez Zbawcy wkracza na scenę....“

Wiersz „Na Kahlenbergu“ jest najpiękniejszym nietylko z tego zbiorku, lecz może z całego szeregu wydanych przez Machara pieśni. Miękkością, ciepłym tonem i układem wiersza przypomina jedne z najpiękniejszych ballad Mickiewiczowskich „To lubię“. Opisawszy cudne wdzięki powabnej kobiety: Wiednia, przechodzi poeta do bolesnych pytań. Cóż wspólnego z tą delikatną niewiastą ma jego ojczyzna? „Ni język, ni dążenia, sława ani ból twój, — tylko droga z Dürnkrut aż do Białej Góry, — ta droga szeroka a krwawa“ i rzuca znaną legendę o Samsonie, aby nadzieją przyszłości pocieszyć duszę strapioną.

Wspominaliśmy już, że Machar w sonetach umieścił kilka pieśni, pełnych współczucia dla kobiet. W roku zeszłym wyszły w świat — „Magdalena“ (większy utwór) i „Tu powinny kwitnąć róże“. Czy poeta maluje wspomnienia o więdnącem szczęściu, bo pan mąż się przesycił, czy pisze list, gdzie przebudzona świadomość kobiety zrywa z miłością konwencyonalną, gdzie żona rzuca mężowi w oczy pełną garść jego występków i „idzie żyć na swój rachunek“, czy stawia nam przed oczy życie żony robotnika, którą mąż brutalizuje, a ona to znosi z zupełną rezygnacyą („Niewolnica niewolnika“), czy nawet mniej smutne snuje przed nami widoki, — wszędzie jest głęboka psychologia instynktów ludzkich i całe serce poety po stronie cierpiących. — Jednakże i tu Machar nie zajmuje się kwestyą kobiecą. Walki o prawa niewieście nie odmalował on nigdzie. Nigdzie nie przedstawił nam obrazu dzisiejszej socyalnej kobiety, ani słowem nie przemówił za emancypacyą, — bodajby najumiarkowańszą, — chyba, że kto zechce zaliczyć tu ową kobietę, „która idzie żyć na własny rachunek“. — Pan sobie — pani sobie.

Największym dotychczas utworem Machara jest „Magdalena“, gdzie rozstrzyga, czy upadła kobieta może wejść z powrotem do towarzystwa naszych „porządnych ludzi“. Odpowiedź brzmi: „Nie! — bo bourgois nic nie przebaczy.“

Akcya rozpoczyna się w Pradze. Do gmachu, gdzie era kapitalistyczna podała dłoń erze komunistycznej, gmachu, na którym niewidzialnemi głoskami wypisane są słowa: „Wspólność kobiet“ i „Ceny stałe“, wstępuje młody bourgois, Jerzy, przepędzający tam często gęsto wieczory i znajduje tu świeżo przybyłą młodą dziewczynę, — przedni kąsek dla wykwintnego ludożercy. Ale melancholia dziewczyny skrępowała jego namiętności; — Jerzy poczyna z nią rozmawiać i wychodzi, nie ośmieliwszy się strząsnąć pyłku skromności z wyglądającej słonka róży młodocianej. Po kilku odwiedzinach postanawia ją wyrwać z domu rozpusty i odprowadza do siebie, umieszczając pod opieką złotego serca ciotki, rozkochanej w Jerzym i oddanej mu zupełnie. Dziewczę

KAZIMIERZ TETMAJER.

KU NIEBU.

Szła Hanka po Skupniowym Upłazie, a wiatr taki dął, że się zdawało, iż ją zrzuci do doliny. Zimno było, że choć i serdak miała, i na serdaku chustkę dobrą, po każdej kosteczce mróz się mrowił. Po niebie kłębiły się i kotłowały śniegowe chmury, przez które świeciło słońce, jakby przez ołowianą blachę, całkiem bez blasku i jakby martwe. Naokół była pustka wszędy okrutna, i szum taki gnał przez góry od wiatru, że aż lęk piersi ściskał, bo się zdawało, że całe Tatry jęczą.

A Hanka szła przed siebie.

Żeby ją kto był spotkał, pewnieby jej się pytał: a po cóż ty tam idziesz, dziewczyno, w te góry i w tę pustkę, w ten szum? Tam już nie mieszka nikt, tylko strach na ciebie warknie, śmierć ku tobie zęby wyszczerzy, a niemoc cię obali i po tobie. Kto też idzie w góry ku końcu jesieni? Albo się wróć, albo się już nigdy nie wrócisz. Nie zobaczysz ty już więcej zielonej trawy, ani jasnego owsa, tylko idź dalej. Wiatr cię zamrozi, kurzawa cię zasypie, orłowie i jastrzębie ciało twoje młode po wierchach rozniosą. Po cóż ty tam idziesz dziewczyno?

Takby się był na pewno każdy jej spytał, ktoby ją był spotkał, ale już jej nikt spotkać nie mógł. Koziarze dawno flinty na ścianach zawiesili, bo już kozy strzału nie warte; nie włóczy się po górach nikt.

Ale Hanka, choć tak pusto naokół okrutnie, rada, że jej nikt pytać nie będzie, po co idzie?

Cóżby mu powiedziała? Ucieka w góry przed swojem nieszczęściem, przed swoją hańbą... Dokąd? Po co? Tego ona nie wie, ani o tem nie myśli. Idzie przed siebie. abu iść, aby dalej od ludzi.

Zła chwila się zbliżyła i nawet kryć się już było dłużej trudno... Niejednej się to trafiło, ale że już na gorszą nie mogło trafić. Ojciec i matka pomarli, nie zostawiając Hance nic, bo co było, przepili ze szczętem, rodzina, jak to rodzina majętna, o takim dziadzie, jak Hanka, słyszeć nawet nie chciała, a Wojtek Chroniec, co ją obiecywał brać, powiedział jej tylko: ostoń z Pane Boge — i pojechał do Ameryki. I Hanka została we wsi, sama jedna, opuszczona, w służbie u żyda, który ją poniewierał, teraz zaś wiedziała pewnie, że wypędzi. A wówczas? Gdzie się podzieje? Co pocznie? Z głodu przyszłoby może zemrzeć, nim się w siłach na nowo poczuje, a dopieroż o służbę z małem dzieckiem trudno. I żeby to jeszcze ludzie dobrzy byli, ale kiedy się Zośce Kosiarskiej podobnie wydarzyło, że to bogaczka, nikt jej nie powiedział nic, a ją, Hankę, ledwie kto spostrzegł, co się święci, każdy palcem wytykał.

A przecież ona jest taki człowiek i takie boskie stworzenie, jak i drugi.

I zdjęła ją straszna rozpacz. Już jej było przedtem tak źle na świecie, że się czasem zdawało, że nie przetrzyma, a dopiero teraz się zacznie; Z mostu się rzucić, albo co? I szła na most, ale ile razy spojrzała w męt cichy, zielony i prawie nieruchomy, aż ją coś w tył ciskało, i uciekała tak, jakby ją kto za warkocz na plecach łapał i gwałtem do wody zepchnąć chciał.

Próbowała skoczyć w studnię, ale jeszcze ciężej by było w tę ciemną gardziel wpaść.

Tak trzeba było pokutować za tę miłość serdeczną, za to ukochanie bez pamięci, za tę słodkość niezmierną, co jak miód tęgi poiła. Nie było dla niej miejsca na świecie, ani pocieszenia.

Bała się Hanka złej chwili, bała się żyda, bała się ludzi, bała się księdza wikarego, który po imieniu i nazwisku wywoływał z ambony „ladacznice“, trędowatemi przezywał i wdawać się z niemi, jak zapowietrzonemi bronił, bała się nieszczęścia swego i swojej niedoli — trzeba się było gdzieś podziać.

Raz w południe w niedzielę siadła Hanka na drzewach za karczmą i zaczęła płakać. Płakała tak, że mało jej oczy ze łzami nie wypłynęły, a potem zarzuciła

wyidealizowało sobie Jerzego, — wkrótce jednak doszło do przeświadczenia, że jest on zwykłą, mierną istotą. Pod wpływem poczciwej staruszki Magdalena nasza odżyła i razem z nią pracuje nad szyciem bielizny i ubranek dla biednej dziatwy miejskiej. Ale Jerzy, któremu złośliwe docinki towarzyszy o sentymentalności dokuczyły, i który poczyna wstydzić się szlachetnego postępku, zabiera ciotkę i przyczynę swoich moralnych szpilek i wyjeżdża do pobliskiego miasteczka, gdzie ma piękny dom. Magdalena żyje w ciszy, wszystko może poszłoby jako tako, lecz zjawia się ojciec, pijak i próżniak, „szlachetna dusza“, który dla nasycenia żołądka namówił prośbą i groźbą jedyną swą córkę zapisać się do owego, jak Heine powiada, „poziomego rzemiosła“. Przyszedł, by wyłudzić trochę grosza i wypaplał całą historyą córki. Wieść rozeszła się lotem plotkarskiego języka. Brudne, gadatliwe, płytkie miasteczko, wietrzące już przedtem w Magdalenie zwierzynę nie pierwszej czystości, dokucza wszelkiemi sposobami nieszczęsnemu dziewczęciu. Odwracają się od niej. — A Jerzy? — Nuży go to wszystko, a zresztą przeszkadza w ożenieniu bogatem i w kandydaturze na posła. Machar całą potęgą pióra odtwarza nam starcia pseudostronnictw, zakładanie dzienników, kaptowania głosów itp. i całe wogóle życie miasteczkowe. Na tem szarem tle umieścił poeta jeszcze jedną sympatyczną postać, młodego studenta.

Poznawszy go przypadkiem, Magdalena cierpiąca uczuwa w niem coś pokrewnego. On inaczej mówi, inaczej myśli, on jeden współczuje, on jeden na tej bezludnej, — przepraszam: bezuczuciowej wyspece, — rozumie ją. Ale ta postać, obdarzona uczuciami szlachetnemi, ukrywająca pod czaszką skarby rozumu, jest jednym z tych 20 czy 25% studentów, którzy z nędzy chorują na suchoty. Student umiera. Przyjaciółka pospiesza rzucić garść ziemi na trumnę. I właśnie wtedy, kiedy ona pełna anielskiej boleści i zadumania nad nędzą życia powraca z pogrzebu, w progi domostwa wchodzi Jerzy ukołysany wiadomością pewnego zwycięstwa swej kandydatury, wita się z Magdaleną i pospiesza za nią do jej pokoiku, gdzie poszła zmienić ubranie.

Gdy ta zdziwiona nań spogląda, Jerzy obejmuje ją i rozrywa stanik, by w gorącej zanurzyć się piersi. — Okrzyk oburzenia i boleści był odpowiedzią na postępek Jerzego. Magdalena wyszła — by nie wrócić więcej... A on? — Przez głowę przemknęły mu myśli: „Może to lepiej, — żona, — kandydatura, — spokój,“ — i nie dumał nad tem więcej, kontent, że mu się oczyściła droga życiowa.

A Magdalena dążyła tymczasem ku Pradze, by w nurtach Wełtawy szukać ukojenia. Ale szumiąca woda, głębia i mrok napełniają ją strachem. Ona lęka się umierać, — ona żyć, żyć jeszcze pragnie. Nigdzie ratunku, — noc wszędzie i zimna obojętność i głód. Więc idzie zwolna ku znanemu gmachowi, stąpa cicho po schodach, serce bije jej mocno, lecz kładzie rękę na klamce, by wstąpić w progi starego życia, które ją wstrętem przejmuje. A na zegarze bije ósma, a dzwonek wydzwania „Anioł pański.“ Mgła osiada na domach i wisi w ulicy. Robotnicy po pracy dążą do pobliskiego szynku, gdzie na tle dymu rysuje się postać znanego już nam wyzyskiwacza wdzięków swej córki. Głęboka malancholia spoczywa na całym utworze.

Komu życie i ludzie zostawili choć odrobinkę serca, współczuje z tą Magdaleną, pomimo jej braku energii i siły, — a z goryczą odwróci się od Jerzego, w którym szlachetne drgały popędy, który nie jest na wskroś zepsutym i bezecnym, a który jednak przez brak charakteru i dzięki zgniłemu otoczeniu staje się taką powszednią, marną istotą.

W ostatnim czasie Machar wystąpił jako krytyk. Napisał ocenę działalności poety Hálka, — i znów jest przedmiotem rozpraw starszego i młodszego pokolenia. Znów powstał bój, — wieczny bój.

Zygmunt Makowiecki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Obrazki lwowskie.

(Prasa.)

II.

Galicya jest tym z trzech zaborów Polski, który pod względem ilości czasopism przoduje dwom innym. Że jednocześnie posiada największą liczbę analfabetów, że procent ostatnich jest tak wielkim, iż wobec przymusu szkolnego i owego rozpowszechnienia drukowanego słowa, zapytujemy siebie, czy to nie omyłka obliczeń statystycznych, to znów rzecz inna, którą, jak wiele faktów na świecie, a zwłaszcza w Galicyi, nie tak łatwo pojąć. Faktem jest przecież imponująca cyfra 130 czasopism, wychodzących w państwie austryackiem w polskim języku. Dawniejsze pierwszeństwo Krakowa, który we wszelkich objawach umysłowego życia zajmował miejsce przodujące, pod względem prasy, a kto wie czy i nie wydawniczym, musi już dziś walczyć o lepsze ze Lwowem, nawet biorąc tu pod uwagę tylko polskie czasopisma, obok których istnieje przecież kilka, jeżeli nie kilkanaście, rusińskich.

Złośliwi w tym rozkwicie prasy nie upatrują zapotrzebowania czytelników, ale zbyt wielką ilość piszących, którzyby radzi znaleść ujście dla pomysłów i prac, a zwłaszcza źródło zarobków. Inna rzecz, że po za paru dobrze stojącemi materyalnie redaktorami, owo źródło płynie bardzo małym strumykiem, że cyfra stu reńskich miesięcznie dla współpracownika pisma codziennego jest niekiedy trudnym do osiągnięcia ideałem. Dziennikarz galicyjski to nie wiedeński redaktor jeżdżący karetami do biura, ale zwykle ciężko skłopotany człowiek, który do rozmaitych zajęć brać się musi. Istnienie wielkiej ilości pism zależy bezwątpienia od zaostrzonych stosunków partyjnych. Każdy obóz

---

chustkę na siebie i poszła. Szła przed siebie ku górom, sama nie wiedząc dokąd idzie? Szła, aby iść.

Drogę ku Gąsienicowym Stawom znała, bo tam pasała krowy, tam się więc zwróciła. Na Skupniowym Upłazie śnieg był wyżej kostek, ale Hanka szła. Zaczerniły się przed nią szałasy. Miły mocny Boże, jak jej tu bywało dobrze! Co się tu człowiek uweselił, co się naśmiał! Pasał tu i Wojtek, i tu się zalubili na Hanczyne nieszczęście. Pasały tu także i Wawrzykowa Broncia i Marysia od wody. Nieraz poszły za Zielone z krowami, pokładły się twarzą do słonka i śpiewały, aż się echo po Kościelcu głosiło. A słońce to tam chadzało po zieleni, takie jasne, aż radość była patrzeć. Gdzie się obrócić, to krowy czarne, albo cisawe, ztąd i ztąd dzwonią, a tam po turniach wysoko, po upłazkach Wojtkowe owce bielą się, dzwonkami zbereżą, a Wojtek sobie na piszczałce piska, albo śpiewa:

Ani mi nie ciężko, ani mi nie lekko,
Ino mi ku tobie Hanusiu daleko...

A ona mu na to odpowiadała

Ej kieby ja miała klucyki ode dnia,
Zamykałaby se nocke od połednia...

I tak do siebie śpiewali z daleka, aż sie echo po Kościelcu głosiło, a słońce było takie jasne, że się każdy kwiatek śmiał.

Albo kiedy stary Tomek w szałasie na gęślach zagrał, a Wojtek wyskoczył do tańca! Nie było nadeń tancerza. Tak się nosił ponad ziemię, jakby mu kto sokołowe skrzydła do kierpców przyprawił. Wszystkie dziewki chciały go oczami zjeść, ale on był jej, Hanczyn freirz.

Albo kiedy deszcz lał, a oni wszyscy siedli koło watry, Wojtek ją objął wpół, przycisnął ku sobie, a jej dobrze serce z piersi nie wyskoczyło. A kiedy ją pocałował, to jej się w oczach mgliło, a wargi od warg odkleić się nie chciały.

Milszy też jej był, niż te gwiazdy, niż to słońce na niebie. Stary Tomek bajki plótł, a oni siedząc koło watry, jedno przy drugim, słuchali.

Miły, mocny Boże, wszystko to minęło, jak żeby kto przespał...

Minęło i nie wróci...

Zostały już poza nią szałasy; szła ku Zielonemu. Śnieg był coraz większy i wiatr dął coraz mocniej, aż dech w piersiach zapierało. Gdzieś tam po uboczy przeleciały kozy spłoszone, jedna, dwie, pięć ich Hanka naliczyła.

Pognały ku Liliowemu, zaczerniły się na przełęczy na śniegu i znikły; mimowiednie skręciła się Hanka ku przełęczy liliowej i szła dalej.

Siły poczęły ją opuszczać i jakieś czerwonawe światło, jak ogniki, poczęły jej latać przed oczyma, zrazu zrzadka, potem coraz gęstsze i czerwieńsze, rzekłbyś krwawy deszcz. A zimno, jakby kto całe ciało lodem obkładał. Dziwny też szum w głowie poczęła Hanka słyszeć i coś ją jakby piekło w mózgu. Przystanęła. Wszędy góry, białe upłazy, czarne, omiecione ze śniegu turnie, takie wysokie, jak jej się nie wydawały nigdy, krzaki zaśnieżonej, obmarzłej kosodrzewiny, urwiska, w które wiatr śniega kurzawy ciskał, na niebie, jakby za ołowianą zasłoną, słońce bez blasku, jakby martwe. Pustka głuchość okrutna...

Ale Hanka szła dalej, już nawet dobrze nie wiedząc, dlaczego ze wsi uciekła i czy tam jest jaka wieś poza nią? Coś jej się majaczyło, jakby dzwony z daleka biły i ksiądz śpiewał, podobnie jak na pogrzebie jej matki, a czasem wiatr zawył tak, jakby groby na cmentarzu jękły.

Hance zaczęły się plątać nogi, w oczach jej się poczęła czynić noc, a w głowie czynił jej się coraz większy szum i ogień. Potem zdawało jej się, że się wszystko wali na nią i zgniata ją; skały, kosodrzewiny, chmury. Czuła ucisk, tłoczenie na piersiach i ramionach, zupełnie jak podczas odpustu w ludzimierskim kościele, na Matkę Boską Różańcową, kiedy myślała, że ją zgniotą w tłumie. I przypomniała jej się Matka Boska ludzimirska w niebieskim płaszczu i złotej koronie, ponad ołtarzem. Modliła się już do Niej wtedy Hanka, czując nad sobą nieszczęście! Pomodliłaby się i teraz, ale jak tu daleko iść, a kolana się już chwieją, więc tylko poczęła szeptać: Zdrowaś Maryjo, Pon s Tobom, łaskiś pełna...

Wtem jakaś światłość zakołysała się

chce mieć swoje własne organa, co nie przeszkadza co prawda przedrukowywać *in extenso* artykułów z pism przeciwnego obozu, ale jednocześnie pozwala zjadliwie przeciw niemu występować.

Porównywając prasę codzienną lwowską z takąż prasą Krakowa zauważyć trzeba, że krakowska występuje z większą powagą, że ma więcej literacką formę, pisana jest wytworniejszym językiem, jeżeli wogóle o wytworności języka mówić można w prasie i to galicyjskiej, lwowska zaś jest ruchliwszą, bardziej krewką. Te ostatnie przymioty odnoszą się przecież tylko do organów dwóch stronnictw krańcowych, a więc ultra konserwatywnego Przeglądu, organu Länderbanku, jedynego zasobowego pisma, który na tych swoich bankowych koligacyach zarabia sumy niemałe, i do postępowego Kuryera.

Redaktor „Przeglądu“, p. Ludwik Masłowski, ongiś postępowy współpracownik pism warszawskich i tłomacz Darwina, dziś przeniósłszy ziemskie dostatki i piękną kamienicę nad idealne dobra postępu, cały zasób swych zdolności, sprytu i trudu poświęca redaktorskiej pracy nad pismem ultrakonserwatywnem. „Przegląd“ jest przybytkiem wsteczniclwa, nieprzyjacielem wszelkich postępowych dążności, zdecydowanym wrogiem każdego, co dziś istniejącą korupcyą i nadużycia usunąć by pragnął, wyzyskując choćby nawet dane przez ustawodawstwo austryackie prawa. Przecież już dla tego, że jest zdecydowanym i ma swoją barwę, unika najstraszliwszego przekleństwa, jakie mieć można na pismo, — nie jest nudnym. Pan Masłowski stara się być zawsze jak najlepiej poinformowanym, reporterska strona „Przeglądu“ przedstawia się najlepiej ze wszystkich pism lwowskich, informacye poważniejsze przecież są zwykle oświetlone bardzo tendencyjnie. „Przegląd“ np. nie chciał wraz z p. Badenim widzieć nadużyć wyborczych, lecz gromił ludzi, którzy burzyli dawny porządek, pozwalający bezkarnie gospodarować szlachcie, a we Włoszech przy uroczystościach rzymskich widział tylko beztakt straszny wobec papieża.

Na drugim krańcu stoi „Kuryer lwowski“, organ galicyjskiej partyi ludowej. Tu znów, o ile strona zewnętrzna często szwankuje, nie mówiąc już o druku, papierze, formie literackiej, ale nawet zbyt pospiesznie zebranych brukowych wiadomościach, które często odwoływać trzeba, o tyle tendencye są uczciwe i pojmowanie dziennikarskich obowiązków poważne. Nic to dziwnego, skoro „Kuryer“ takich ma współpracowników jak utalentowany powieściopisarz, publicysta i uczony dr. Franko, lub znany wam dobrze poeta Jan Kasprowicz. Nazwa Kuryera nie uczyniła zeń bynajmniej brukowego świstka, lecz tylko odebrała togę, pozwoliła nieco powierzchownie traktować wypadki pozakrajowe, a w tonie bardzo poważnym zająć się sprawami krajowemi, traktować sumiennie politykę dnia, podnosić każdy objaw polskości i demokratyzmu, a gromić korupcyą. W czasie wyborów, a więc w ostatnich miesiącach prowadził „Kuryer“ stałe sprawozdania z akcyi wyborczej, w których opisywać się starał wszystkie nadużycia władz i trudności, jakie spotykało stronnictwo ludowe. Rubryka ta nie jest jeszcze wyczerpaną, ale ponieważ hr. Badeni orzekł, że nadużyć nie było, prokuratorya o nich pisać nie pozwala, czego dowodem trzykrotna konfiskata ruskiego „Hałyczanina“ za artykuły tego rodzaju. Kto jedynie chce być dobrze poinformowanym o polityce pozakrajowej, lub ruchu społecznym za granicą, temu „Kuryer“ nie wystarcza. Nie chcąc dopełniać informacyi dziennikarskich tendencyjnemi artykułami „Przeglądu“, zwrócić się trzeba do „Gazety lwowskiej“. Jest to organ urzędowy, który dzięki znacznym środkom, jakiemi rozporządza, nie potrzebuje oszczędzać miejsca, jest więc dziennikiem dużych rozmiarów, a poparcie rządowe pozwala mu nie napadać tak zjadliwie na organy i ludzi innych obozów, jak czyni to np. „Czas“ lub „Przegląd“; redagowany jest przytem starannie. Najwięcej jałową zaś lekturę stanowią wielkie płachty „Dziennika polskiego“ i „Gazety narodowej“, w których czytelnik nie znajdzie nawet polemiki, ani tendencyjności wybitniejszej, która mogłaby mu rozgrzać krew, a razić go będzie wiele pominiętych lub skrzywionych faktów z rzędu tych, które istotnie stanowią najpoważniejszą treść życia społecznego.

Prasa lwowska unika wszelkiej wspólnej akcyi, czy inicyatywy, nie jest przeto korporacyą, z którą jako z taką ogół liczyć by się powinien, pozbawiając się samowolnie potężnego środka oddziaływania, a kto wie, czy nie zmniejszając przez to liczby swych czytelników; dotąd bowiem abonowanie pism niemieckich i czytanie ich po kawiarniach bardzo jest rozpowszechnione w Galicyi, a zwłaszcza wschodniej.

Losy pism tygodniowych są bezwątpienia cięższe, niż codziennych. Przedewszystkiem powodzeniu samodzielnego tygodnika, czy miesięcznika przeszkadza zwyczaj dodawania do dzienników bezpłatnych lub niesłychanie tanich dodatków tygodniowych, czy miesięcznych. I tak przy Gazecie lwowskiej wychodzi „Przewodnik naukowy“ — „Dziennik polski“ dodaje „Bluszcz warszawski“, — „Kuryer“ dołącza „Tydzień literacki“, — „Przegląd“ grozi obecnie zalewem przez warszawskie „Echo muzyczne i teatralne“ itp. Naturalnie, że publiczność „pism tygodniowych“ opłacać nie rada, a istniejącym nie łatwo walczyć z konkurencyą bezpłatnych lub warszawskich, dodawanych po zniżonej cenie. Takim warszawskim konkurentem staje się oprócz „Bluszczu“ i „Echa“ od nowego roku „Wędrowiec“, którego redaktor zakłada tu agenturę. Dodać trzeba, że „Wędrowiec“ zabrał się do rzeczy bardzo sprytnie; a więc przedewszystkiem skorzystano z chwili, w której upadł „Swiat“ krakowski. Naturalnie, że ani pod względem wartości literackiej ani artystycznej „Wędrowiec“, nie mający prawie nigdy własnych kliszy, tylko te, które mu odstępują niemieckie Familienblatty, ze „Swiatem“ równać się nie może. Nie o to przecież chodzi. „Swiat“ utrzymać się nie mógł, bo odebrano mu wstęp do Królestwa, a nakład był duży na tak piękne i staranne wydawnictwo. Tymczasem „Wędrowiec“ doszedł już i bez Galicyi do bardzo pokaźnej liczby abonentów, a tu na lwowsko-galicyjskim gruncie rozpowszechni się niezawodnie, gdyż dodaje dla całorocznych prenumeratorów biblią Wujka z ilustracyami Dorégo.

Pocieszającym objawem jest kilkoletnie istnienie we Lwowie kwartalnika historycznego, który naturalnie nie jest organem

---

ponad upłazem — Hanka drgnęła: Zje coz to hań?

A światłość się stawała coraz większa, jakby z błękitu i srebra dziergana i szła ku Hance. Przelękła się Hanka bardzo i szum się jej w głowie jeszcze mocniejszy uczynił, nogi się pod nią ugięły i chciała uciekać, ale wydało jej się, że z tej światłości wychodzi ku niej głos cichy i bardzo słodki: Nie bój się...

Hanka stanęła.

A głos odezwał się znów: Pódź.

— Ka? — szepnęła Hanka.

Głos odpowiedział: Ku niebu...

Wówczas Hanka ośmielona podniosła oczy i zobaczyła twarz jak miód, i oczy jak kwiaty. Coś, jak niebieski płaszcz, majaczyło w światłości i złota korona zdawała się migotać w górze.

— Tyś to jest, Pani anielska? — szepnęła Hanka.

I wydało jej się, że Matka Boska skinęła na nią i poczęła przed nią iść wolno ku Liliowemu. Jakieś nowe siły wstąpiły w Hankę, kolana przestały jej drzeć, uciszył się nieco szum w głowie, a zimna prawie już nie czuła. Wiatr też na chwilę przycichł. Tylko coraz grubsze chmury zawlekały niebo i coraz mgliściej błyszczało słońce, zupełnie martwe.

Hanka szła zrazu sporo i z jakąś otuchą w sercu, ale wkrótce znowu jej się nogi plątać poczęły, czerwone płatki zaczęły się sypać przed oczyma, szum głowy ogarnął, niemoc zdjęła ją tak wielka, że już prawie stóp ze śniegu wydobywać nie mogła.

— Pani, siadłabyk se — szepnęła.

— No to se siednij — odpowiedział głos z światłości.

Więc Hanka usiadła pod dużym kamieniem i oparłszy się oń plecami, wyciągnęła zbolałe nogi przed siebie. Ale wówczas światłość poczęła jakby mdleć, roztapiać się, niknąć... I znowu naokoło nie było nic, tylko góry i urwiska i śnieg biały, smutny i głuchy...

Wszystko to zlewało się Hance w jakiś zwał gór i śniegu pod mętnem niebem.

— Pani, kazeście? — szepnęła.

Ale jej nie odpowiedziało nic. Chciała wołać, nie mogła. Zdawało jej się, że jej ktoś na każdą rękę i na każdą nogę ciężkie kamienie pokładł. Dreszcze, jak mrówki, poczęły jej chodzić po ciele i niemoc ją taka zdjęła, że ledwo oddychać mogła. Oczy i uszy jakby jej kto zatykał ręką, nie wiedziała i nie myślała nic, czuła tylko, że śniegu koło niej coraz więcej, że jej już zakrył nogi, do pasa sięga, piersi zasypuje. Robiło jej się coraz cieplej, więc była rada. W powietrzu uciszyło się i nawet słońce na chwilę błysnęło jaśniej, srebrząc śniegi.

Hanka, zupełnie bezwładna patrzyła przed siebie. Czuła, że dzieje się z nią coś dziwnego, jakby w niej wszystko powoli tężało i czyniło się lodem. Ogarniała ją coraz większa niemoc i jakby ciężka jakaś senność.

— Usnem — myślała.

Wtem świat się cały zamroczył od kurniawy, wiatr huknął i spadł z gór, jak lawina, miecąc przed sobą całe płaty śniegu i strzępiąc je, że się rozlatywały, jak pióra z głuszcza porwanego przez orła. Hankę w twarz począł ciąć ostry, drobny lód, a wicher to ją obmiatał z śniegu do pasa, to znów prawie po usta nim zasypywał. Ciepła krew poczęła się sączyć Hance z twarzy i szyi, ciętej lodem.

Na chwilę ból wrócił jej przytomność: tu moja śmierć — pomyślała i przestraszona chciała dźwignąć się, wstać, ale była zupełnie bezsilna i znowu zamąciło jej się w głowie. Słyszała szum, widziała góry, ale coraz mniej, coraz słabiej.

I znów na chmurze śniegowej, w zamroczy zamajaczyła światłość, o wiele bledsza, niż pierwej, ale daleko bliższa, tuż przy Hance. Nawet zdało jej się, że jakaś ręka dotyka jej ramienia. Podniosła oczy: ta sama twarz, jak miód i oczy jak kwiaty, tylko o wiele bledsze. I znowu zdało jej się, że ten sam cichy i bardzo słodki głos odzywa się: Pódź.

Ka? — szepnęła Hanka.

— Ku niebu. Daj rękę — rzekła Matka Boska.

I Hanka podała Jej rękę i poszła.

specyalnie lwowskim, ani nawet galicyjskim, ale przedstawicielem polskiej wiedzy historycznej wszędzie, gdzie się nią interesują. Poważnem pismem pedagogicznem jest „Muzeum“, organ towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, który oprócz zagadnień pedagogicznych daje niekiedy prace z innego zakresu i jak na Galicyą cieszy się licznym zastępem czytelników. Czwarte pismo naukowe (trzeciem jest wspomniany już „Przewodnik“) „Ekonomista polski“ upadło przed rokiem blizko, straciwszy, jak mówią wtajemniczeni, znaczną część abonentów przez zajęcie zbyt wyraźnego politycznego stanowiska. A szkoda, jedyny to bowiem organ specyalny w zakresie ekonomii społecznej, a w kraju autonomicznym niezbędnie był potrzebnym. Słów kilka jeszcze o istniejącym od kilku zaledwie miesięcy „Przeglądzie Wszechpolskim“. Tendencye jego i cele czytelnikom moim pewnie są wiadome, zaznaczę je przecież raz jeszcze, bo spotykam się ze zdaniem, iż „Przegląd“ założony został, aby umieszczać wiadomości, których cenzura warszawska przepuścić nie chce. Nie wiem, co kierowało redaktorami pisma, to pewnem jest przecież, że na czytelniku robi ono wrażenie, jak gdyby zogniskować chciane w jednym organie informacye o wszelkich objawach życia polskiego, gdziekolwiek się ono rozwija. Dla narodu tak rozproszonego jak my, i dla kraju, którego części rozgraniczono murem politycznych, niepodobnych do przebycia odrębności, interes to pierwszorzędnej wagi. Wdzięczni być też musimy redaktorom pisma, którzy pracę podobną podejmując, prowadzą ją poważnie i bezstronnie. Nie wglądając też na dziś bliżej w treść nieco bladą i pod względem literackim surową i w kierunek pisma, wyrażę jeszcze życzenie, aby znalazło jak najszersze poparcie czytającego ogółu, który tak rzadko obejmuje całość przejawów umysłowego, społecznego i politycznego życia polaków.

Pobieżny ten przegląd czasopism, wychodzących we Lwowie, w którym pominąłem niejedno, jak n. p. wspomniane już w pierwszym obrazku pisma robotnicze, lub ludowe, wykazał przecież jak na lwowskie stosunki, nadspodziewanie szeroki i różnostronny ruch umysłowy- Wobec tylu pism miejscowych dziwić się trudno, że mało abonowane są pisma warszawskie. Najczęściej spotkać można „Tygodnik ilustrowany“, czasem „Przegląd tygodniowy“ „Prawdę“, „Gazetę polską“, a poważne „Ateneum“, jak się dowcipnie wyraził jego redaktor, ma 1 i pół abonenta — i to bez-płatnego.

S. Z. D.

JERZY BRANDES.

DWÓR WIEJSKI

w Krolestwie Polskiem.

(Listy z 1894 roku.)

(Ciąg dalszy.)

Smutnemi są te niemal codzienne zajścia, a jeszcze smutniejszem, iż niejednokrotnie tak błahemi ich przyczyny. Najwięcej może zabrała ofiar ostatnia demonstracya, a gdy się pomyśli o jej początku, to doprawdy, że smutny obraz niedoli Polski występuje z tragikomicznem zabarwieniem. Główną agitatorką była niezbyt młoda i nieładna kobieta, która widocznie za jakąbądź cenę pragnęła, by o niej wiedziano i mówiono, a nie mogąc uczynić tego innym sposobem, rzuciła się do głośnego i krzykliwego patryotyzmu. Przyszedł jej pomysł nieszczęśliwy urządzenia żałobnego obchodu i nabożeństwa z procesyą. Syn jej był studentem, w domu bywało dużo jego kolegów, myśl prędko przeszła w czyn, a jeden z młodych ludzi poszedł do księdza, by ową mszą zamówić. Ksiądz ani się domyślał, co się święci; on i jego duchowni pomocnicy, którzy obecnie wszyscy są wysłani w dalekie strony, byli w tym wypadku niewinnymi jak dzieci. Dopiero, gdy odprawiając nabożeństwo, odwrócił się ku wiernym i spostrzegł kościół pełny, a wśród tłumu 200 do 300 studentów w mundurach, zbladł i domyślił się, że wpadł w zasadzkę. Owa pani zaś werbowała ludzi na wszystkie strony i była strasznie oburzoną na „podłe tchórzostwo“ tych, co pragnęli pozostać w domu. W pismach umieszczono, nie w tekscie, lecz pomiędzy ogłoszeniami, zawiadomienie, iż ma się odbyć msza dziękczynna z powodu cudownego uratowania dziewczynki, której nazwisko przytoczono. Nazwisko tego dziecka, które nie uderzyło cenzora, chociażby z tego powodu, iż na cenzora ogłoszeń nie wybierają najzdolniejszych, najinteligentniejszych ludzi, dla znających dokładnie wypadki z końca zeszłego stulecia w Polsce, było bardzo znaczącem, gdyż dziewczynka owa, w 1794 r. po wybuchu powstania, wydobytą została cała i nienaruszona z pod końskich kopyt całego szwadronu kozaków, który po niej przeleciał. Czytelnicy zrozumieli od razu o co chodzi i kościół był zapełniony po brzegi. Z kościoła udała się procesya do historycznego domu szewca Kilińskiego na Starym Rynku, przed którym z uszanowaniem zdjęto nakrycia głowy, lecz tak jak umyślnie, by nie zabrakło żadnego pierwiastku do dokompletowania tej marnej parodyi politycznego czynu, dom zamieszkany przed stu laty przez Kilińskiego, dziś stał się siedliskiem bardzo niemoralnej instytucyi, ?) a zebrane w nim dziewczęta, sądząc, że to jakaś młodzieńcza zabawa i farsa, wychylały się przez okno, śmiejąc się i przesyłając całusy zebranym uczestnikom demonstracyi. Skończyło się na tem, że policya zabrała wszystkich do więzienia.

Rosyanie tak mało czują się pewni na tutejszym gruncie, że ta niemądra i smutnokomiczna przygoda, wprawiła ich w przestrach nie mały. Gdy Hurko, przebywający podówczas za granicą, dowiedział się o niej, był po prostu w rozpaczy. „Dowodzi to — rzekł — że cała moja praca w ciągu dziesięciu lat była próżną; trzeba będzie teraz wziąć się do ostatecznych środków i użyć całej surowości“ dodał po chwili. „Tembardziej, — dorzucił jeden z jego synów — że Polska jest dla nas przedmurzem Europy“. „Widać ztąd, że trzeba byście wasze przedmurze cofnęli o spory kawał dalej“, rzekł obecny tej rozmowie jeden z Polaków, lecz nie dostał na to żadnej odpowiedzi. I cały ten gwałt powstał z powodu publicznie oddanej części publicznemu domowi (?)

Szczególnem jest, jak często bohaterstwo łączy się w tej nieszczęśliwej Polsce ze śmiesznością. Mimowoli przyszło mi na myśl odnalezienie w nurtach Elstery zwłok księcia Józefa Poniatowskiego. Bardzo możliwie, że jenerał wyglądał w przybliżeniu tak, jak go przedstawia posąg jego, dłuta Thorwaldsena, chociaż jest tam znacznie odmłodzonym, lecz gdy odnaleziono trupa, nikt księcia poznać nie mógł. Cóż się bowiem okazało? Oto, że wszystko na nim było fałszywem, zamiast włosów miał perukę, wąsy były sztuczne, brwi starannie naklejone, a figura starannie ściśnięta gorsetem, by nie zdradzać zmienionej przez wiek postawy. Jedynie kosztowny zegarek, który zawsze nosił przy sobie, dozwolił go poznać. Oglądałem przed paru dniami zamieszkały przez niego pałacyk; zewnętrzna jego strona jest złożoną z samych prawie tajemniczych wejść i drzwi ukrytych, był to istny basza, który sobie rozrywek nie żałował, postać wielka swem bohaterstwem i zabawna zarazem.

Gdy literaci i autorowie, co wrócili do domów, zawitają tu do nas, żaden dłużej nad jeden dzień nie da się zatrzymać na wsi, tęsknią zbyt do Warszawy, lub może do swych przyjaciółek, pomniejszych aktoreczek, zresztą gdy się ma którego z nich od soboty wieczora do poniedziałku rano, można się wszystkiego dowiedzieć, co ma tylko zajmującego do opowiedzenia. Malarze chętniej bawią na wsi, mamy więc ich obecnie czworo; trzech mężczyzn i kobietę, którzy dłuższy czas z nami spędzić zamierzają. Nie mówimy dużo przy stole, z powodu, iż służba rozumie po francuzku, dopiero przy kawie, w bibliotece, na werandzie, lub też gdy pogoda nie sprzyja w zimowym ogrodzie, gdzie ogarniają nas odurzające zapachy, jak w Zolowskiej cieplarni i gdzie nie brak nawet skóry białego niedźwiedzia, rozwiązują się języki i każdy coś opowiada z przebytego w różnych miejscowościach lata. „Słyszeliście zapewne — mówi nam malarz N. N. (Rosen) — ile zarobiłem w ostatnich latach za rządowe obstalunki; prawda, że miałem znaczne dochody, ale nie macie wyobrażenia, ile mnie one kosztowały. Wystawiłem po raz pierwszy w Petersburgu obraz mój historyczny, przedstawiający scenę wojenną — wiecie, że innych nie maluję, — z początku bieżącego stulecia, a sam byłem podówczas w Paryżu, gdy otrzymuję telegram, bym się stawił natychmiast, gdyż wysoko położona osoba, której nie wymieniam, bo wszyscy wiecie o kim mowa, życzy sobie mię widzieć. Przybywam i dostaję 12,000 rs. za mój obraz, jakoteż obstalunek na inny, który ma przedstawiać bitwę z wojny rosyjsko-tureckiej. Miejsce danej bitwy było w Rumelii; spieszę więc tam, właściwie bez potrzeby, bo była to zwykła rozległa równina, z niewielkiemi wzgórzami w oddali na widnokręgu. Zadałem sobie przy tym obrazie dużo pracy, przyłożyłem starania i wykończywszy go wysłałem. Nowy telegram. Wysoko położona osoba jest zadowoloną z obrazu, lecz życzyłaby sobie widzieć na nim więcej wojska. Ci, co wiedzą o kim mowa, zrozumieją, iż niepodobna było nawet myśleć o przekonywaniu i proteście. Maluję więc rzecz całą na nowo, by wpakować tam więcej żołnierzy, przez co obraz traci ogromnie na wartości artystycznej. Otrzymuję nowy obstalunek; przejście Suwarowa przez Alpy. Odnosi się to do epoki, którą znam jak moje pięć palców i którą uwielbiam. Żaden szczegół i wydarzenie, żaden guzik ówczesnego munduru nie jest mi obcym. Wystudyowałem miejscowość i zabrałem się do roboty, Wymalowałem naturalnie Suwarowa na zwykłym kozackim koniu, na innym bowiem nigdy nie jeździł i zmieniał go codziennie. Koń był gniady, gdyż barwa ta najlepiej od jasnego tła odbijała. Zaledwie obraz doszedł do miejsca przeznaczenia jest znowu telegram. Życzą sobie mnie widzieć, zachodzi potrzeba zmian pewnych. Najprzód zjawia się u mnie jakiś jenerał z wizytą i zapytuje, dla czego Suworowa umieściłem na cisawym koniu, a nie na siwym wierzchowcu, jak niesie tradycya. Dla tego — odpowiadam — że tradycya jest pod tym względem fałszywą, Suwarow nie miał własnego siwego rumaka, lecz jeździł zawsze na kozackim koniu, ten zaś jest tej barwy, jaka z ogólnym tonem obrazu najlepiej harmonizuje. Naznaczają mi audencyą, nowe pytania, taż sama odpowiedź, w rezultacie zaś rozkaz, by Suwarow siedział na siwym koniu, a ja wypełniam go z konieczności, jakkolwiek wygląda to szkaradnie.

Nie dość na tem, mam malować jeszcze jeden obraz, tym razem wzięcie szturmem tureckiego szańca w 1878. Plan obrazu udał mi się, całość przedstawia się nader malowniczo; umieszczam szaniec na pierwszym planie na prawo; turbany, fezy, działa, ponad tem wszystkiem powiewające jedwabne chorągwie, zamieszanie, — dalej zaś w głębi rosyjskie wojsko w pełnym biegu pędzące do ataku. Wysyłam znów obraz i jak zwykle otrzymuję telegram, że życzą sobie mnie widzieć. Przybywam, zadowolenie ogromne, ale żądają ma się rozumieć pewnej zmiany, mianowicie: by nieszczęśliwych Turków przenieść w głąb, rosyjskie zaś wojska umieścić na pierwszym planie, czyli innemi słowy, potrzeba zupełnie nowego i odmiennego od tego obrazu. Wymalowałem i ten, dostałem zań 15,000 rs., ale niestety nie dało mi to zadowolenia, bo nie ma on żadnej wartości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Prawo kobiet i małżeństwo.

II.

„To wszystko, coby należało do męża i żony, mówi J. Stuart Mill, gdyby nie zawierali małżeństwa, zostanie pod ich wyłącznym zarządem przez czas trwania związku... Są osoby, które razi myśl separacyi majątkowej; widzą one w tem negacyę pojęcia małżeństwa, stopienia dwu istnień w jedno. Co do mnie, jestem najenergiczniejszym stronnikiem spólności dóbr, gdy ta wynika z zupełnej jedności uczuć pomiędzy właścicielami, co sprawia, iż wszystko pomiędzy niemi jest spólne. Ale nie mam najmniejszego upodobania w zasadzie, w imię której wszystko, co twoje, jest moje, ale co moje, nie jest twoje; nie chciałbym układu podobnego z nikim, chociażby miał wypaść na moją korzyść. Niesprawiedliwość tego rodzaju ucisku, który cięży na kobietach, jest powszechnie uznana: można jej zaradzić, nie dotykając nawet innych punktów kwestyi i bezwątpienia ona najpierwsza zniknie.“

Słowa znakomitego ekonomisty sprawdziły się, gdyż prawo angielskie z r. 1882 poszło za jego wskazówkami. Jeszcze przed laty dwudziestu legalnym skutkiem małżeństwa w tym kraju było: pochłonięcie osobowości żony przez osobowość męża. Przed r. 1870 prawo zwyczajowe przyznawało tam mężowi własność zupełną, bez żadnych zastrzeżeń, wszystkich rzeczy ruchomych żony. Co do majątku nieruchomego, zachowywała ona tytuł własności, ale mąż zarządzał i z dochodów korzystał. Żona pozbawiona była „osobowości cywilnej“: nie wolno jej było stawać w sądzie lub dopełniać jakiegokolwiek aktu prawnego, nawet za zgodą męża, nie mogła robić testamentu, który miałby moc prawną. Starano się do pewnego stopnia łagodzić ową przewagę mężowską, drogą np. ustanowienia oddzielnej schedy, jako wyłącznej własności żony. Bardzo atoli szczupła garstka korzystała z tego przywileju. Zarobki różnych pracownic, honorarya artystki albo autorki, nie korzystały z opieki prawa. Jak gdyby wszakże przedświtem pomyślniejszego zwrotu, jeszcze w r. 1857, był specyalny przepis w sprawie rozwodu, na którego mocy kobieta opuszczona przez męża mogła uzyskać wyrok sądu, upoważniający ją do swobodnego rozporządzenia tem wszystkiem, co nabyła od czasu, gdy się z nią mąż rozstał.

Od r. 1870 rozpoczyna się w Anglii przekształcenie prawa małżeńskiego w zakresie interesów pieniężnych. Zabezpieczono zarobek własny kobiety zamężnej. Otrzymała ona także prawo odwoływania się osobiście do sądów w sprawach dotyczących jej mienia. Nie na tem wszakże koniec. Roku 1882 wydano przepisy szersze, dotyczące majątku kobiety zamężnej *(The married Women's Property)*. Według nich mężatka może nabywać i rozporządzać majątkiem, posiadać jako własność oddzielną to mienie, którego była właścicielką w chwili zamęźcia, jak również nabyte później drogą sukcesyi darowizny, lub wreszcie jako zarobek, pochodzący z odrębnej profesyi, z pracy na polu artystycznem, literackim albo naukowem. Nadto, może ona zaciągać zobowiązania do wysokości posiadanego majątku; stawać w sądach bez towarzystwa męża: ma prawo zarządzać swem majątkiem i czerpać zeń dochody. Ciężary, wynikające z małżeństwa, podzielone są między małżonków w stosunku do środków posiadanych z osobna. Żona jednak może w każdej chwili powierzyć mężowi administracyę swego mienia, zresztą w intercyzie wolno czynić takie zastrzeżenia i zrzekania się pewnych przywilejów na stronę męża.

Jak widzimy, Anglia poszła daleko, nie sama przez się wszakże, lecz za przykładem kilku stanów unii amerykańskiej. Zdawałoby się, że reformy te powinny być wzorem, łatwym do przyjęcia w innych krajach: tymczasem dotąd widzimy w większości coraz odmienne prawa, stawiające kobietę w zupełnej zależności od męża pod względem materyalnym. We Francyi dopiero niedawno ogłoszono projekt (opracowany przez znanych profesorów wydziału prawnego w Paryżu: Jalaberta i Glassona), którego jeden z artykułów głosi: „Kiedy mąż przez lekkomyślność swoją naraża na straty mienie małżeńskie, żona może bez żądania separacyi majątkowej z upoważnienia sądu odbierać sama zarobki swoje i rozporządzać niemi swobodnie“. Jest to tylko bardzo niewyraźna dążność do reform na wzór angielskich, właściwie półśrodek, gdyż pozwala uciekać się nie do prawa jasnego, lecz do uznania sądu. To samo w razie porzucenia przez męża, którego dwie trzecie dochodów lub pensyi może być zaaresztowane na rzecz żony, jeżeli ma dzieci i jedna trzecia, jeżeli jest bezdzietną. O wiele liberalniejsze ustawy (po Anglii) posiadają w czynie: Szwecya, Dania i Norwegia, wreszcie dość śmiałe zarysy widzimy w projekcie kodeksu cywilnego Niemiec. Według niego kobieta zamężna nie jest dotknięta żadną niezdolnością, chociaż wtrącanie się męża jest potrzebne w większości wypadków, z powodu rozporządzeń, dotyczących uregulowania spraw majątkowych. Żona zatem używa swobody ograniczonej w rozporządzaniu mieniem swojem, wskutek praw, udzielonych mężowi, kiedy zachodzi spólność albo zlanie majątku. Jeżeli wszakże małżonkowie na zasadzie wzajemnej umowy zgodzą się na „separacyę majątkową“, — żona staje się zupełnie niezależną pod względem rozporządzania dobrami materyalnemi, jak gdyby nie była zamężną. Jest to więc system wolności zawarowanej umową, bardzo racyonalny, bo nie prowadzący do nadużywania przywilejów. Trzeba bowiem i to mieć na uwadze, że i kobiety bywają skłonne do trwonienia, podczas gdy powściągliwy w tej mierze mąż może być poniekąd hamulcem dla zabezpieczenia zobopólnego bytu rodziców i dzieci. Prawo cywilne newchatelskie podobne jest bardzo do projektu niemieckiego, bo tam tylko majątkowa spólność czyni kobietę niezdolną. W razie zaś zastrzeżonego rozdziału w umowie przedślubnej, żona nie potrzebuje wcale upoważnienia męża i rozporządza swobodnie majątkiem zwoim.

W zakresie praw męża i żony panują w całej Europie trzy systemy: spólności, bezspólności i separacyi majątkowej.

Wziąwszy pod uwagę ludność tej części świata, wynoszącą 360 milionów, zobaczmy, w jakim stosunku podlega ona owym kategoryom przepisów. System, oparty na spólności jakiegokolwiek rodzaju, panuje w następujących krajach: Francya (38 mil.), Belgia, Holandya, Luksemburg i kilka kantonów Szwajcaryi (12), Szwecya, Norwegia i Dania (9), znaczna część teraźniejszych Niemiec (około 30 mil.), czyli w przybliżeniu 110 milionów (80 — jeżeli potrącimy cyfrę Niemiec z powodu ich przepisów, proponowanych przez projekt kodeksu cyw.) Kraje, gdzie istnieje system bezspólności tego lub innego rodzaju, są: Część teraźniejszych Niemiec, (około 20), Austrya (27), Królestwo Polskie (8), prowincye Nadbałtyckie i większość kantonów Szwajcaryi (5) — w przybliżeniu ogółem 60 milionów (90 — jeżeli dodamy całe Niemcy z powodu przepisów projektu). Kraje, gdzie działa separacya majątkowa, czyli niezależność: Włochy (30), Rosya (z wyjątkiem tych prowincyi, gdzie porządek jest odmienny, około 80), Wielka Brytania i Irlandya (40). W przybliżeniu około 150 mil. Wreszcie kraje, w których porządek prawny nie daje się jasno rozklasyfikować; Węgry, Finlandya, państwa Bałkańskie itd., w przybliżeniu 40 milionów. A więc system niezależności obejmuje największą część liczebną ogółu w Europie. Jaki jest najlepszy? Separacya majątkowa — zdaniem Bridela — jest bez zaprzeczenia porządkiem najprostszym i najjaśniejszym dla wszystkich stron interesowanych. Jest przytem najsprawiedliwszym, „jedynym, który się liczy z prawami kobiety“.

Niezmiernie ważna jest kwestya, dotycząca prawa do spadku po spółma żonku. Nie możemy atoli zaglądać do wszelkich prawodawstw europejskich, więc poprzestaniemy tylko na rzucie porównawczym ogólnym. Według prawa kilku krajów, spółmałżonek powołany jest do sukcesyi tylko w razie, gdy niema krewnych w stopniu upoważniającym do dziedziczenia. Tak głosił francuzki kodeks cywilny, obecnie przekształcony pod tym względem. Ztamtąd ów system przeszedł do Belgii, gdzie dotąd obowiązuje, a także do części francuzkiej kantonu berneńskiego. Podobny stan rzeczy panuje w Holandyi. Ideą przewodnią tego systemu, coraz bardziej zanikającego, jest, aby majątek osoby zmarłej bez testamentu, wrócił do członków jej rodziny. Pewna liczba prawodawstw upoważnia spółmałżonka do udziału w spadku wraz z rozmaitemi kategoryami krewnych. Ma on zatem prawo do całkowitej sukcesyi tylko w braku takich krewnych. Do tej grupy należą Francya (od r. 1891) i Austrya. Anglia także — w tem, co dotyczy wdowy i majątku ruchomego; Genewa (od r. 1874), Zurych i Rosya w której spółmałżonek, pozostający przy życiu, ma prawo do siódmej części majątku nieruchomego i do czwartej ruchomego. W Rosyi przy tem istnieje prawo, według którego zstępni, dziedziczący po rodzicach *ab intestato*, otrzymują udziały swoje w następującym stosunku: „Każda córka, gdy żyją synowie, tj. siostra przy braciach, otrzymuje z całego majątku nieruchomego czternastą część, a z ruchomego ósmą. Jeżeli niema synów lub ich zstępnych, do spadku przychodzą córki tudzież ich zstępni i dzielą się między sobą według tych samych prawideł (art. 1130 i 1132 *Swodu)*. Pomimo to wszakże bracia mogą się zgodzić na równy podział z siostrami.

Następstwa jednak powyższego systemu są bardzo różne, stosownie do stopnia, w jakim się znajdują spadkobiercy. N. p. we Francyi krewny dwunastego stopnia może brać udział w spadku wraz ze spółmałżonkiem, gdy w Genewie po za ósmym już nie dziedziczy. Prawodawstwa hiszpańskie, zurychskie i bazylejskie odznaczają się jeszcze

większem ograniczeniem w tej mierze. Według innych, spółmałżonek wyłącza wszystkich krewnych, którzy nie są „najbliżsi“, wtedy nawet, gdy są jeszcze w stopniu upoważniającym do dziedziczenia. Tak jest w Prusiech, Włoszech, Saksonii i — według projektu niemieckiego. Pomijamy zresztą odcienie innych prawodawstw, ze względu na ich znaczną liczbę.

Również pod względem przywilejów władzy ojcowskiej i korzystania z dochodów dzieci, w prawodawstwach europejskich panuje wielka rozmaitość i chaos. Na uwagę zasługuje artykuł kodeksu cywilnego prowincyi Nadbałtyckich; „Jeżeli matka jest przekonana, iż wola ojca przynosi szkodę dzieciom, może się odwołać do władzy sądowej, która w tym razie powierzy jej samej wychowanie“. Paragraf ten powinien być wzorem dla innych prawodawstw. Pod względem wymierzania kary znaczna część prawników niedowierzająco traktuje kobiety: „Brak dojrzałego sądu i charakter skłonny do uniesień, dość powszechny wśród kobiet, nie pozwala tyle polegać na zdaniu matki, co ojca“ (Pothier w XVIII w.) Według Valette'a, charakter matki, często zmienny i gwałtowny, nie daje rękojmi spokojnego i zimnego oceniania rzeczy. To też w wielu prawodawstwach europejskich panuje charakterystyczna zasada: *„Tacet mater in familia“*.

W jaki sposób usunąć sprzeczności, nadać możliwie największą sprawiedliwość traktowaniu kobiety przez prawo? Bridel podaje klucz do rozwiązania tej kwestyi w szeregu następujących wniosków: 1) Wymazać z prawa: „żona winna posłuszeństwo mężowi“, zachowując zresztą zasadę, że mąż jest „głową rodziny“, póty przynajmniej, póki spełnia obowiązki, ciążące na nim względem swoich. 2) Równość w traktowaniu obojga małżonków, pod względem wierności (w dziedzinie prawa karnego i cywilnego) 3) Przyznać kobiecie zamężnej całkowitą zdolność cywilną, usuwając konieczność upoważnienia męża i wszelkie instytucye, krępujące jej swobodę działania. 4) Nadać uświęcenie prawne przepisowi kodeksu, na mocy którego mąż powinien utrzymywać swoją żonę i dzieci. 5) Przyjąć separacyę majątkową, czyli niezależność wzajemną małżonków; zasada wolności w układach małżeńskich jest zresztą uświecona przez prawo. 6) Zapewnić kobiecie zamężnej prawo swobodnego rozporządzania własnym zarobkiem. 7) Dać znaczny udział w sukcesyi pozostałemu przy życiu spółmałżonkowi, jako pierwszemu spad kobiercy. 8) Zastąpić wyrazy *władza ojcowska* przez *powaga rodzicielska*. Uznać prawa matki obok ojca. 9) Kiedy powaga rodzicielska przypadnie matce, powinna mieć te same prawa co ojciec pod względem przywilejów władzy rodzicielskiej (wychowanie, opieka, kura, prawo do dochodów i zarządu majątkiem). 10) Po śmierci ojca matka powinna być opiekunką swych małoletnich dzieci, a jej macierzyńskie prawa nie powinny być skrępowane innemi przepisami niż te, jakie się stosują do ojca w razie śmierci matki. 11) Dozwolić ażeby kobiety wogóle, zamężne lub nie, mogły być wybierane na opiekunki i członków rady familijnej. 12) Pozwolić, ażeby mogły być powoływane na świadków przy rozmaitych aktach publicznych i prywatnych.

Pewna dążność w reformie kodeksów do większych przywilejów dla kobiety, jest objawem wielce charakterystycznym, nadającym znamienne piętno warunkom bytu małżeńskiego. Potrzebuje on wzmacniania swych podstaw cementem prawnym. Kodeks reguluje stosunki ludzkie, bądź jako środek zapobiegawczy, bądź jako protest przeciwko wszelkim nadużyciom lub uciskowi. Więc i w małżeństwie tę samą rolę odgrywa. Ale nie zapominajmy, że prawo, skoro przychodzi ze swoim wyrokiem, to przymus, to antagonizm dwu stron. Tymczasem musi ono coraz częściej zaglądać do tak zwanych ognisk domowych, które miały być oparte na miłości i dobrej wierze. Rzeczywistość rozwiała złudzenie i regułę zaliczyła do wyjątków. Prawo *w małżeństwie* stało się obrońcą strony krzywdzonej, *w rodzinie* — pomocą do wydobycia kobiety z pod gruzów tradycyi i wzniesienia na stanowisko nie niewolnicy westalki, lecz kapłanki właściwej. Ci, którzy drżą o to, ażeby na skrzydłach większej swobody nie wzleciała ona ponad strzechę i komin ze szkodą własnego gniazda, niech się pocieszą, że owe przywileje mogą tylko utrwalić kobietę „w domu“ i nadać jej większe znaczenie, jako pożytecznej kierowniczce latorośli społecznych.

Zenon Pietkiewicz.

REZOLUCYE.

Z prośbą o zamieszczenie odbieramy pismo następujące:

Zgromadzeni prezesi towarzystw katolicko-polskich w Westfalii i Nadrenii oświadczają, co następuje:

I. Dotychczasowy porządek w towarzystwach katolicko-polskich, zaprowadzony w porozumieniu z duchowieństwem, uznajemy za dobry. Dla tego nie życzymy sobie żadnych zmian, ani w ustawach, ani w zwyczajach. Nie utworzymy też ani związku towarzystw, ani też nie wybierzymy ani nie uznamy generalnego prezesa wszystkich towarzystw.

II. Nasze towarzystwa są *na wskroś katolickie* i dla tego miło nam jest, iż miejscowe duchowieństwo troszczy się o nas i czuwa, abyśmy na krok od zasad katolickich nie odstąpili. O ile w towarzystwach chodzi o sprawy *czysto-religijne*, o tyle przyrzekamy duchowieństwu bezwzględną uległość. Pod każdym innym względem wszakże zastrzegamy sobie najzupełniejszą swobodę i niezależność działania. Tej swobody i niezależności nie wyrzekniemy się za żadną cenę, a groźby lub przeszkody również nie skłonią nas do ustępstwa. *Przedewszystkiem czuwać będziemy, aby nietylko katolicki, lecz także w równej mierze polski charakter naszych towarzystw tak, jak dotąd, wyraźnie był zastrzeżony. Towarzystwa nasze mają pozostać po wszystkie czasy katolicko-polskiemi.*

III. Uznajemy, że duchowieństwu świeckiemu i Ojcom Franciszkanom należą się rządy w kościele. Oświadczamy, że w kościele i w sprawach *czysto-kościelnych* najzupełniej będziemy duchowieństwu ulegali i w ogóle pragniemy z duchowieństwem żyć w zgodzie. Ponieważ z powodu składek zbieranych przed kościołami na Świętojózafacie“ powstały różne nieporozumienia i walki, przeto postanawiamy w przyszłości składek na cel powyższy przed kościołami nie zbierać. Natomiast będziemy agitowali, aby Rodacy ustanowione przez ks. dr. Lissa „Świętojózafacie“ w Bochum popierali w przekonaniu, że ta instytucya jest nam równie potrzebna, jak naszym Rodakom w Polsce, Towarzystwa pomocy naukowej w Poznaniu, Chełmnie, Bytomiu i Raciborzu, a zarazem wiedząc, że *dawać pieniądze własne* wolno nam każdemu.

IV. Postanawiamy gorliwie popierać wszystkie pisma katolicko-polskie, które bronią nas przed niewiarą, socyalizmem i germanizacyą, a przedewszystkiem „Wiarusa Polskiego“ jako pismo wyłącznie dla nas założone i szczerze nam służące.

V. Wszystkich Rodaków prosimy gorąco, aby zaniechali kłótni i sporów. Nieporozumienia, jakie wynikły wśród nas, puśćmy w niepamięć, bo one nam tylko szkodę i wstyd przynoszą.

Bochum, 27 października 1895.

Tu następują podpisy.

Wolne głosy.

Wojna z kobietami.

„Kuryer poznański“ w artykule p. t. „Aspiracye kobiece w naszem społeczeństwie“ wypowiedział wojnę kobietom, a raczej młodszej generacyi poznańskich „pań i panienek“, wśród których zanosi się na coś „arcy niezdrowego“. Jeśli słuszna wierzyć „Kuryerowi“ „zły duch podszeptuje im z boku“, aby zwoływały „jakieś walne zebrania, protesty przeciwko władzy, którą same sobie niedawno wybrały“ — a wszystko jest tylko „mąceniem wody“, odwodzącem Wielkopolanki od „wzniosłego celu, który sobie postawiły“.

„To są zdrożne aspiracye — mówi wreszcie, — a obowiązkiem społeczeństwa stłumić je w zarodzie“.

Mamy tu więc formalny akt oskarżenia wraz z szumnym finałem: pobudką, wzywającą całe społeczeństwo do walki ze „zdrożnemi aspiracyami kobiecemi“.

Na miłość boską, lube Wielkopolanki, cóżeście uczyniły?

Czy wypowiedziałyście otwartą wojnę rodowi męzkiemu i zamierzacie wyprzeć go ze wszystkich uzurpowanych dotychczas stanowisk i urzędów, — począwszy od osadzenia naczelnej prezydentki na miejsce naczelnego prezesa, a skończywszy na zainstalowaniu kobiecych piór w sacrosanctum dziennikarstwa naszego: redakcyi „Kuryera poznańskiego“? Czy może na walnym wiecu niewieścim zapadła uchwała, aby odtąd żadna z młodszych pań i panienek za mąż nie wyszła i dzieci nie niańczyła? A może gorszej jeszcze dopuściłyście się zbrodni — może na środku Wilhelmowskiego placu zamierzacie zbudować uniwersytet kobiecy ku wiecznemu pognębieniu różnych X. X. lub Domaratów, dla których z początkiem studyów naukowych dla kobiet kończy się świat, a raczej wszystko, co na świecie świętem i czcigodnem było, tj. pleśń, zgnilizna i szara odwieczna pajęczyna?

Jeśli to wszystko nieprawda, to jednak musiały zajść w społeczeństwie kobiet wielkopolskich jakieś przerażające objawy, jakie symptomaty „przewrotnych“ dążeń, musiały się wśród niego ukazać warchołki, masonki, czy burzycielki, kiedy „Kuryer“ w tak wielkie dzwony alarmowe uderzył.

Nic z tego. Oto jak się rzeczy miały: Kobiety wielkopolskie zapragnęły uczcić X. kardynała Ledóchowskiego w roku jego jubileuszu. — W tym celu zwołano parę zebrań, na których proponowano zrazu złożyć mu podarek, ponieważ jednak propozycya ta upadła, uchwalono zbieranie składek na fundusz im. kardynała Ledóchowskiego, pozostawiając do dalszej uchwały cel i przeznaczenie dokładne tego funduszu, nie wiedząc zrazu, jaką sumę zebrać się uda. Sądziły one bardzo słusznie, iż zasłużonego człowieka uczczą najlepiej, najwdzięczniejszy hołd mu złożą, jeżeli rok jego jubileuszu zaznaczą pięknym, patryotycznym czynem, jego pamięci poświęconym. Uwiecznienie nazwiska ks. kardynała funduszem, któryby trwale wspierał szlachetne dążenia narodu, z którego płynęłyby dobrodziejstwa na tak bardzo biedne społeczeństwo, jest zarazem najwyższym i najcenniejszym objawem czci — a nie wątpię, że najmilszym dla serca dobrego pasterza.

„Kuryer Pozn.“ jest widocznie źle poinformowany; nie wie, że celem składek było zbieranie funduszu *im. ks. Ledóchowskiego*, a złudzony błędnie notowaną rubryką składek w pismach sądzi, iż chodziło zawsze *o dar jubileuszowy*. Nie przypuszczamy jednak, aby sympatye jego były po stronie pierwszego projektu. Czyż album, serwis, złota tabakierka, piękny dywan lub ornat — lepiej świadczyć by miały o przywiązaniu dyecezyanek niż — czyn dobry?

Zbieraniem składek zajęto się gorliwie i dziś, po trzech miesiącach suma ich wynosi 6031 mk. Radość Wielkopolanek była wielka, — gdy w tem do uszu owej „niezdrowej“ młodszej generacyi pań i panienek doszła wieść, że komitet nosi się z myślą poświęcenia tych pieniędzy na kształcenie w Rzymie jednego z młodszych księży.

Zaprawdę nietrudno zrozumieć ich goryczy i rozczarowania. Któż, prócz owego młodego kandydata podróży do Rzymu mógł się entuzyazmować dla takiego celu? Cóż na spełnieniu zamiaru zyska społeczeństwo? Gdzież to powiedziano, że ksiądz w Rzymie kształcony ma być gorliwszym kapłanem niż ci, którzy u nas swe obowiązki pełnią? Gdzież, w jakim katechiźmie zapisano, że sakramenta udzielane przez polskiego księdza większe mają znaczenie, a kazania większy wpływ wywierają? A jeżeli chodzi o przyjemność dla ks. kardynała, któż przypuszczać może, że mieszkając w Rzymie, będąc tak blizko Watykanu, tęskni za młodymi księżmi i ucieszy się bardzo, gdy jeden więcej z Polski przybędzie? Taki podarunek z „jednego“ księdza, to zresztą dar wielce wątpliwy — i nikt za niego gwarantować nie może. A nuż się edukacya nie uda? Nuż taki jubileuszowy ksiądz zamiast chluby, zawód księdzu kardynałowi przyniesie?

Nie można się więc dziwić, że ten niefortunny pomysł zaalarmował składkujące panie i panienki — że zapragnęły zwołać walne zebranie i zainterpelować komitet, którego nieomylności „Kuryer“ jeszcze nie był ogłosił podówczas.

Nawiasem dodam, że wybranie komitetu nie znaczy tyle, co zdanie się na jego łaskę i niełaskę. Komitetowi nie polecono *decydować* o przeznaczeniu składek, lecz *zorganizować* ich zbieranie. — Żaden zresztą zarząd nie jest absolutną *władzą* nad walnem zebraniem, lecz każdy jest przed walnem zebraniem odpowiedzialny, przez nie mianowany i przez nie też odwołany być może.

W ostatnich tygodniach czytałam w „Kuryerze Pozn.“ głębokie zdanie: „idee są to baccyle“.

„Niezdrowe“ umysły pań i panienek zaatakowane zostały przez „baccyle“ dobra publicznego i powzięły chęć wsparcia funduszem im. kard. Ledóchowskiego jednej z istniejących instytucyi, np. „Tow. pom. nauk. dla dziewcząt“. — Wątpię, aby ks. kard. protestował przeciw temu postanowieniu lub czuł się niem dotknięty. Łatwiej jednak zadowolić czcigodnego jubilata niż nieubłaganą redakcyą. — Postanowienie to nazywa ona „mąceniem wody“, odstąpieniem od „wzniosłego celu“, jaki sobie wytknęły „młodsze“ kobiety.

A zatem wysłanie księdza do Rzymu jest celem wzniosłym — wspieranie biednych dziewcząt pragnących uczyć się i pracować — „mąceniem wody“.

„Boże, ty to słyszysz i nie grzmisz? — wołam z nieocenionym Zagłobą.

Pocieszcie się, Wielkopolanki moje, pocieszcie się, wy z szlachetniejszego kruszczu! anatema „Kuryerowe“ nikomu jeszcze na złe nie wyszły. Oddawna już kują w redakcyi przy św. Marcinie gromy i pioruny na wszelkich „młodzików“ z opozycyi, na nowiniarzy, masonów, warchołów, burzycieli, a żadnemu z nich włos z głowy nie spadł w skutek tego. Miotanie się „poważnej“ redakcyi, nadużywanie broni najgrubszego kalibru do zabijania najniewinniejszej muchy, wzywanie pomsty niebios na lada głosik krytyki samodzielnej, to bardzo pospolite symptomaty bezsilnego gniewu i duchowej niemocy. Bądźcie przekonane, że „Kuryer“ o wiele prędzej wyczerpnie arsenał swych średniowieczczyzną cuchnących pocisków, niż wy zapas dobrej woli, energii i sił młodych, które dla dobra społeczeństwa poświęcić pragniecie.

Na zakończenie jednak pozwólcie, iż dam wam dobrą radę na doświadczeniu opartą. Nie rozpoczynajcie nigdy zbierania żadnych składek, zanim ich przeznaczenie *dokładnie i jasno* określonem nie będzie; gdy zaś są zebrane, pilnujcie gorliwie, aby wedle pierwotnego postanowienia użyte zostały. Wtedy i tylko wtedy możecie mieć pewność, że praca wasza i trud nie poszły na marne, że czas wasz dobrze został użyty, że sił nie strwoniłyście bezskutecznie. W społeczeństwie tak biednem, tyle mającem potrzeb niezaspokojonych jak nasze — nie wystarczają ofiary materyalne i praca; trzeba, aby praca była użyteczną a ofiara istotne przynosiła korzyści.

J. Moszczeńska.

NA WYŁOMIE.

(Pod adresem Wielkopolanek. — Anakreon w przekładzie Ludwika Mizerskiego. — Liście figowe.)

Ze stron najrozmaitszych odbieram listowne wezwania, aby zabrać głos w sprawie „młodszej generacyi Wielkopolanek“, których społeczno-narodowa działalność jest solą w oku rozmaitym zwolennikom robienia pończoch, smażenia konfitur i niańczenia dzieci. Całej tej gromadzie przerażonej tak niespodziewanym ruchem kobiecym w krainie snu, bigoteryi i bajczarstwa odpowiada w innej rubryce jedna ze stałych współpracowniczek „Przeglądu“ — mnie zatem nie wypada nic innego, jak wzorem rozmaitych uczonych z „Towarzystwa przyjaciół nauk“ powiedzieć z słodkim uśmiechem: *„Chciałem tylko oświadczyć“*, że zgadzam się *w zupełności* na zdanie preopinanta“. Nie wątpię też ani chwili, że dzienniki zanotują moje nazwisko i mój „żywy“ udział w poważnej dyskusyi, a potomność, którą w ten sposób pewne naczynia poznańskiej mądrości informują o egzystencyi swojej, dowie się i o mnie.

Jedno tylko ośmielę się dorzucić słowo. Jest w tym narodowym i społecznym ruchu kobiecym na poznańskim gruncie jakaś otucha serdeczna i jakiś prąd świeży, — niby otwarcie okna w dusznej, od lat kilkunastu nie wietrzonej ciemnicy. Nie minął jeszcze rok i połowa od owej chwili, gdy redakcya nasza uderzyła w szybę, wołając: „Otwórzcie! Tam za oknem jest słońce i błękit i zapachy kwiatów, jest świat szeroki i ugor czekający na kobiecą siejbę.“ Odpowiedziano nam przekleństwem i gradem kamieni, ale jeden z pocisków trafił w szybę zapyloną, i słońce zajrzało do tej mrocznej klatki i rozproszył duszność zdrowy powiew wiatru.

Ruch ten, Wielkopolanki młode, jest waszą zasługą. My zapukaliśmy tylko do furty, zamykającej nagromadzone zapasy energii, wy rozsadziłyście ciasne obręcze, — naszem było słowo, waszym jest czyn. Nowe to życie dotychczas w ciasnem jeszcze płynie korycie i jeszcze brak rutyny gdzieniegdzie plącze mu nogi, ale bądź co bądź coś się wyłamuje, coś myśleć zaczyna samoistnie i praca szersze obejmuje kręgi. Szkoda byłoby zaiste, gdy kwiat rozkwitający tak pięknie zważyć miał szron gazeciarski. Zakładając czytelnie wasze i urządzając zebrania nie prosiłyście w kumotry „Kuryera Poznańskiego“, ztąd gromy i przekleństwa spadają i spadać będą na głowy wasze. Jeżeli pragniecie komplimentów, idźcie i klęknąwszy u bram redakcyjnych wołajcie potulnie: „Panie! sługi twoje czekają w pokorze. Mów co czynić mamy, a każde słowo będzie ewangelią.“ Wtedy usłyszycie „zdrowie dam“, opowiadania o „kapłankach domowego ogniska“, o wyższości Wielkopolanek nad wszystkiemi kobietami ziemi i Jowisza, o powadze i dojrzałości naszych żon, sióstr i córek, no! i dziesięć tysięcy podobnych duserów. Jeżeli karmelki życie wam zapełnić mogą, — idźcie do Canossy. Tu praca trudna i laur trudniej zdobyć, — cyt! ktoś zawołał: „Takich my pragniemy!“

A gdy już mowa o laurach, tych ulubionych liściach wszystkich orłów i rozszczebiotanych szczygłów literackich, niechaj mi wolno będzie choć skromną plecionką uwieńczyć skronie jednego z poznańskich autorów. Pan Ludwik Mizerski złożył na stole naszym nowy wiązarek liryczny w formie przekładów Anakreonta, wyśpiewanych, jak mówi przedmowa, hen! daleko i dawno za czasów wojny francuzkiej, a dziś dopiero drukiem ogłoszonych. Mizerski? Za granicami księstwa mało kto słyszał o nazwisku poety, kryjącym starannie utwory swoje maską anonimu. Na poznańskim bruku jednak feljetony i wierszyki „konsystorskiego radcy“, wyśpiewane w chwilach wolnych od biurowej pracy, cieszyły się swojego czasu zasłużonym rozgłosem dowcipu i elegancyi. Zamilkł potem na długo ten autor i po latach kilkunastu dopiero, gdy wraz z Anaktreonem mówiły mu hoże dziewczęta:

„Piewco tyś już dziadkiem teraz!
Spojrzyj tylko do strumyka,
Patrz jak włos ci z głowy znika,
I jak świecić już zaczyna
Biała, godna czci łysina,“

wtedy dopiero otworzył zamki biurka swojego i dwa młodzieńcze utwory rzucił na półki księgarskie. Trzy lata temu ukazało się epos olbrzymie w dziesięciu pieśniach p. t. „Syrena“. Niech mi pan Mizerski wybaczy, ale gdybym był Odyseuszem, tobym się do masztu przywiązać nie kazał, bo ta książkowa „Syrena“ jego nie przyprawiła mnie ani na chwilę o zawrót głowy. Nie znaczy to bynajmniej, aby nie miała żadnych zalet „fizycznych i duchowych“, — przeciwnie, mówi gładkim wierszem, niekiedy nawet dosyć obrazowo, niekiedy ślicznie się rozmarzy, niekiedy wesoło zaszczebioce, ale przy dłuższem obcowaniu traci swój urok w potoku banalności i prozaicznego rymowania. Syreny tak często łudzą. Uśmiech rozkoszny i niebo w spojrzeniu, lecz na ustach farba, w oku atropina.

Być zatem może, że i te dziewczyny, o których Anakreon śpiewa, a p. Mizerski w niesfałszowanych przekładach po raz wtóry ludziom prezentuje, — te „Syryi i Libii córy gorące“, te kwiaty młode, uszczknięte w Koryncie, na Lesbos i Krecie, miały fałsz w źrenicach i kłamstwo na wargach, ale któryż kochanek tak „syrenim“ głosem nucił bóstwom swoim?! Jak ta rozkosz dyszy w czarodziejskich strofach, jakie wonie myry i nardu biją z tych ciał bieluteńkich, jaka świeżość, wiosna i szał!

Ej! mistrzu pędzla jedyny!
Perło rodyjskich malarzy!
Zróbże mi portret dziewczyny,
Zrób, lubo nie znasz jej twarzy!

Ja ci opiszę jej wdzięki,
Ty im koloryt daj żywy,

Ot! niechaj najpierw ma miękki
Włos kruczy i połyskliwy.
. . . .
Na gors jej Charyt puść grono,
Poniżej jej cudne ciało
Osłoń gazą tak, by łono
Jak za mgłą tylko widniało.

A czasem śmiech dziecięcy bije z tych pieśni i w słoneczne uśmiechy stroją się strofy, a czasem róża zapachnie:

Kiedy z czaszki niebios pana,
Krwawym bojom rada,
Wystrzeliła w spiż ubrana
Atena Pallada,
Wtedy ziemia, chcąc, by troje
Cudów wstrząsło światem,
Ozdobiła łono swoje
Czarodziejskim kwiatem.
I wykwitła róża śliczna,
Jak śnieg górski biała,
A drużyna bogów liczna
W głos ją podziwiała.
I listeczki jej w purpurze
Maczała nektaru,
Tak powstały wonne róże —
Girlandy pucharu.

Anakreon ślicznie śpiewa, Mizerski zgrabnie tłomaczy. Są w tych przekładach prawdziwe perełki artyzmu, jest tchnienie greckiej pogody — no! i są nawet listki figowe w postaci całych rzędów kropek żałobnych. Szkoda, że tłomacz nie zapomniał na chwilę o tytule swoim „radzcy konsystorza“, uznając za stósowne amputować śpiewaka Hellady nawet na stronnicach poważnych roczników „Towarzystwa Przyjaciół Nauk“. A może amputacyi dokonali inni. Toż „Chmury“ Arystofanesa w doskonałym przekładzie prof. Mottego nie uzyskały tam gościnności ze względu na „sprosność“ tego arcydzieła greckiej komedyi. O! my w dziełach sztuki uznajemy tylko — figę. Gdy grupa Perseusza i Andromedy stanęła na placu Królewskim, ostrzegał jeden z dzienników poznańskich matrony polskie, aby broń Boże! nie wodziły córek swoich na miejsce bezwstydu. A gdy jedna z poetek wielkopolskich tłomaczyła „Rolę“ Musseta, najpotężniejsze strofy w kropki zamieniła.

A teatr... teatr... ty chirurgu wielki! My zaiste podobni jesteśmy do owego filistra, który odziedziczywszy po zmarłym kuzynie dwie rzeźby klasyczne, natychmiast Wenerę w fartuszek a tańczącego Bachusa w spodzienki ustroił. I spoglądały te bóstwa greckie, zaklęte w marmur mistrzów geniuszem, na gawiedź z Psiej Wolki i Pacanowa i pięknem swojem żebrały litości. Na szczytach Olimpu załamał ręce Apollo. Lecz filistrzy prawili długie kazania o grzesznem ciele, z którego wszystko złe pochodzi, o niemoralnych poganach, którzy nagie kobiety rzeźbili, o zwycięztwie ducha i czystości obyczajów. A potem poszli na rynek, ciągnęli lichwiarskie zyski z bliźnich swoich, fałszem malowali na czarno przyjaciół, kłaniali się głęboko przed figurą świętych i po spożyciu odpowiedniej porcyi piwa i wódki, leżąc pod stołem, zaświadczyli człowieczeństwo swoje. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

* *Nowe pismo.* We Lwowie zacznie niebawem wychodzić dwutygodnik, poświęcony sprawom kobiecym p. t. *„Ognisko“*. Naczelna redaktorka pani Reinschmid-Kuczalska postanowiła skierować baczną uwagę na zabór pruski i w tym celu zaangażowała już do współpracownictwa odpowiednie siły w mieście Poznaniu.

* *Odczyt.* W ubiegłym tygodniu odczytał współpracownik nasz, pan *Marchlewski* z Zurychu, na posiedzeniu wydziału prawniczo-ekonomicznego Towarzystwa „Przyj. Nauk“ w Poznaniu nader interesującą rozprawę „o bimetaliźmie“. Odczyt ten ze względu na staranność i wszechstronność opracowania oraz mnóstwo bystrych i głębokich poglądów na ewolucyą społeczną, był istotnie w dziejach Towarzystwa naszego jednym z piękniejszych momentów.

Wyłuszczywszy, na czem polega bimetaliczny system, prelegent wykazywał bezpodstawność twierdzenia, jakoby dewalwacya srebra nastąpiła jedynie wskutek zamknięcia mennic dla tego metalu. Przyznając, że wprowadzenie złotej waluty w Niemczech mogło po części oddziaływać w tym kierunku, dowodził, że główną i ostateczną przyczyną były warunki produkcyi. W związku z tą kwestyą jest twierdzenie, że złota na przyszłość nie starczy. Zdaniu temu zaprzeczył prelegent, opierając się na fakcie, że ilość produkcyi zależy przedewszystkiem od ekonomicznych warunków, w jakich się ona odbywa. Główny nacisk prelegent kładł na społeczną stronę kwestyi, wykazując, że zaprowadzenie bimetalizmu pociągnie za sobą chwilowy wzrost cen, płaca robocza jednakże nie wzrośnie w tym samym stosunku, a przynajmniej nie zaraz, a więc pogorszenie położenia klas pracujących będzie pierwszym nieuniknionym skutkiem takiego kroku. Nadzieje zaś rolników na wzrost cen zboża, nie sprawdzą się, jak sądzi prelegent.

Jeżeli bimetalizm jest tak żywotnym, to można to tłomaczyć tylko ogólną depresyą w rolnictwie: właściciele ziemscy widząc zagrożony swój byt, chętnie poddają się podszeptom bimetalistów, których prelegent porównywał do znachorów, posiadających zawsze uniwersalny środek na wszelkie dolegliwości. Za szkodliwe jednakże należy uważać dążenie, które na pogorszeniu położenia ludu chce budować ratunek chwilowy (bo stałym być nie może jednej klasy. Dla tego autor zakończył rozprawę swoją sentencyą Skargi: „To złodziejskie serce, co ze szkodą innych chce być bogate.“

* *Pamiętnik Juljana Bartoszewicza.* Po znakomitym historyku pozostały pisane w dwóch odstępach czasu pamiętniki. Pierwsza ich część pochodzi z lat młodych i nosi cechę wspomnień czysto osobistych, ztąd jest przeważnie pamiątką dla rodziny i materyałem do życiorysu autora. Druga część, pisana w ostatnich latach życia historyka, ma tło szersze. Jest to rodzaj dziennika, w którym Bartoszewicz zapisywał nietylko swoje wrażenia, ale wszystko, co przynosiło życie społeczne, towarzyskie i literackie Warszawy. Są więc w tym dzienniku charakterystyki ludzi, szczegóły, tyczące się instytucyi naukowych, literatury, dziennikarstwa, stosunków społecznych itd. Syn historyka ociągał się z wydaniem tego dziennika ze względów łatwo zrozumiałych. Bartoszewicz znany był, jako weredyk, nie ukrywał nigdy tego, co myślał, i miał odwagę niezwykłą wypowiadać w oczy swoje sądy o ludziach. Nic więc dziwnego, że w pamiętnikach jego znajdowało się wiele ustępów „drażliwych“, tyczących się ludzi żyjących i zajmujących poważne stanowiska. Ponieważ jednak d. 5 listopada rb. upływa 25 lat od śmierci historyka, p. Bartoszewicz nie czuje się już krępowanym i zajmuje się przygotowaniem do druku pamiętników ojca,

KRONIKA POWSZECHNA.

— Wiadomości społeczne i polityczne. Najbliższej sesyi parlamentu niemieckiego przedłożony ma być projekt, na mocy którego kompetencya sądów będzie znacznie rozszerzona. — Zwycięstwo posła naszego w pszczyńsko-rybnickim okręgu wywołało popłoch nielada w organach stronnictwa centrum. Niektóre pisma zarzucają komitetowi miejscowemu fałszywą taktykę i brak energii. — W cesarskim urzędzie pocztowym zastanawiają się obecnie nad tem, w jaki sposób ustawę o święceniu niedzieli dałoby się zastosować dla urzędników pocztowych. W tym celu mają otrzymać naddyrekcye pocztowe polecenie, aby w niedzielę i święta pracę o ile możności jak najwięcej ograniczyły. Naturalnie pozostawionem to będzie odnośnym dyrekcyom, aby uwzględniły potrzeby poszczególnych miejscowości. — W Moskwie odbyły się liczne aresztowania wśród młodzieży uniwersyteckiej. — Zaburzenia w Turcyi trwają bezustannie. Armeńczycy kryją się po lasach i górach, lub szukają przytułku w poselstwach europejskich. Rafinowane okrucieństwa i masowe morderstwa są na porządku dziennym.

Teatr i muzyka. W ubiegłą sobotę odegrano na poznańskiej scenie nową jednoaktówkę Z. Przybylskiego p. t. „Fotografia Jędrusia“ Powaśnione małżeństwo łączy fotografia umarłego dziecka, — oto treść utworu, zawierającego charakterystykę wyrazistą i kilka rzewnych momentów. Z artystów występujących w tym drobiazgu scenicznym wyróżnili się p. p. Nowacki i Grabowiecki. Oprócz wyżej wzmiankowanej jednoaktówki odegrano w sobotę „Teatr amatorski“ Bałuckiego i „Bzy kwitną“ Przybylskiego. W pierwszym utworze odznaczył się grą mistrzowską p. Królikowski w roli podtatusiałego konkurenta, — w drugim zjednał sobie szczere uznanie p. Wostrowski grą pełną poezyi i uczucia. — W najbliższy czwartek ukaże się na benefis p. Jakubowskiego „Balladyna“, nie grana już od lat wielu na poznańskiej scenie. Rolę tytułową odegra p. Paszkowska, rolę Aliny objęła p. Majdrowiczowa, a Goplanę odtworzy p. Vernon. Przekonani jesteśmy, że przez wzgląd na utalentowanego beneficyanta i piękny utwór mistrza naszego, publiczność wypełni teatr aż do ostatniego miejsca. — Hildebrandta dramat alegoryczny „Mistrzowie Palmiry“ znalazł powodzenie w Wejmarze. — W teatrze Manzoni w Weronie powierzono kapelmistrzostwo kobiecie: signorze Ricchi. — W teatrze lwowskim wystawiono zręczną jednoaktówkę francuzką p. t. „Pierwsza łza“ i prześliczną komedyjkę Gustawa Droza: „Męki Tantala“, — Na scenie warszawskiego teatru Rozmaitości ukaże się niebawem jednoaktowy dramat Daudeta p. t. „Starszy brat“. — W hiszpańskich teatrach zyskała znaczne powodzenie opera Bretona i Felin y Codina p. t. „La Dolores“.

Odpowiedzi Redakcyi.

J. Z. w Zürychu. Artykuł Pański o uniwersytetach ludowych zamieścimy w najbliższym numerze. Z łaskawie nadesłanych nowel korzystać chwilowo nie możemy dla braku miejsca.

Tr. Wątpimy aby Pan na rozprawę tego rodzaju znalazł nakładcę wśród księgarzy poznańskich. Radzimy zgłosić się do kasy Mianowskiego w Warszawie lub przedstawić pracę do zamieszczenia w roczniku poznańskiego Tow. Przyj. Nauk.

Składki.

Na fun dusz konkursowy w sprawie dzieła o Karolu Marcinkowskim złożyli za pośrednictwem p. mec. **Radziszewskiego** z Ostrzeszowa: pp. ks. Sz. i ks. G.; Br.; J. D.; Dr. J.; W. G.; W. M; S. R. i M. S.: razem **15,70 Mk.** — Ogółem zebraliśmy dotychczas **784,60 Mk.**

O dalsze składki prosimy gorąco.

Za redakcyą odpowiedzialny Dr. Wł. Rabski w Poznaniu. Nakładem „Przeglądu Poznańskiego“ w Poznaniu.
Czcionkami drukarni J. Fr. Tomaszewskiego w Poznaniu, przy ulicy Wilhelmowskiej 28.